CENA 2 ZŁ

BIAŁYSTOK KIELCE LUBLIN RZESZÓW

Kamena

LUBLIN 31.I.1966 Nr 2 (335) R. XXXIII DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

UZDROWISKA na sprzedaż?

ADOLF JAKUBOWICZ

Spotkanie rozpoczęło się kilkugodzinnym wypadem w Bieszczady nad budującą się zaporę wodną w Solinie, do Jabłonki i Cisnej, tradycyjnym szlakiem wycieczek samochodowych. Przy pięknej, słonecznej pogodzie buki Chryszczatej nabierały najpiękniejszych szarości dobrego malarstwa.

Wieczorem siedzimy w sali widowiskowej sanatorium „EXCELSIOR". Program przewiduje wprowadzenie do zagadnienia, dwa referaty i dyskusję. Nie zamierzam streszczać referatowych wystąpień. Byłoby to z krzywdą dla ich autorów i ze szkodą dla niezwykle interesującego problemu, który jasno i niedwuznacznie zarysował się już w pierwszym dniu dyskusji. Problem zaś mieści się w dwu postawionych na wstępie pytaniach:

1) co zrobić, by zapobiec postępującemu systematycznie procesowi urbanizacji atrakcyjnych miejscowości uzdrowiskowych, który z wielu głośnych, renomowanych uzdrowisk robił hałaśliwe miasta;

2) czy uzdrowiska Rzeszowszczyzny mogą odegrać pozytywną rolę w stworzeniu przeciwwagi wobec najbardziej zagęszczonych, nie mających zbyt wielu możliwości rozbudowy miejscowości uzdrowiskowych, czy mogą one — jeśli użyć modnego terminu — uczestniczyć w ich deglomeracji?

Odpowiedzi na te dwa pytania poszukiwaliśmy w czasie wielogodzinnych dyskusji, zwiedzając poszczególne uzdrowiska, sanatoria, w rozmowach z lekarzami i działaczami społecznymi. Wszystko to odbywało się w ramach konferencji na temat planów i perspektyw rozwoju lecznictwa uzdrowiskowego oraz koordynacji tych spraw z problematyką wypoczynku i turystyki. Organizatorem konferencji była Centralna Rada Związków Zawodowych, której żywo pomagała rzeszowska WKZZ. Byli więc przedstawiciele obu instancji związkowych jak i zarządów głównych kilku związków, dyrektor naczelny Centralnego Zarządu Uzdrowisk, sekretarz KW PZPR Janusz Brycha, wiceprzewodniczący Prezydium WRN Józef Rak i Mieczysław Kaczor, naukowcy różnych specjalności, przedstawiciele władz lokalnych.

Oglądamy także filmy. Pierwszy, kolorowy mówi o Bieszczadach dnia dzisiejszego i jakby wskazuje przyszłość tego pięknego zakątka. Drugi nosi tytuł „Akcja—B". Jest on poświęcony zorganizowanej przed kilku laty przez Wojewódzką

(Dokończenie na str. 10)

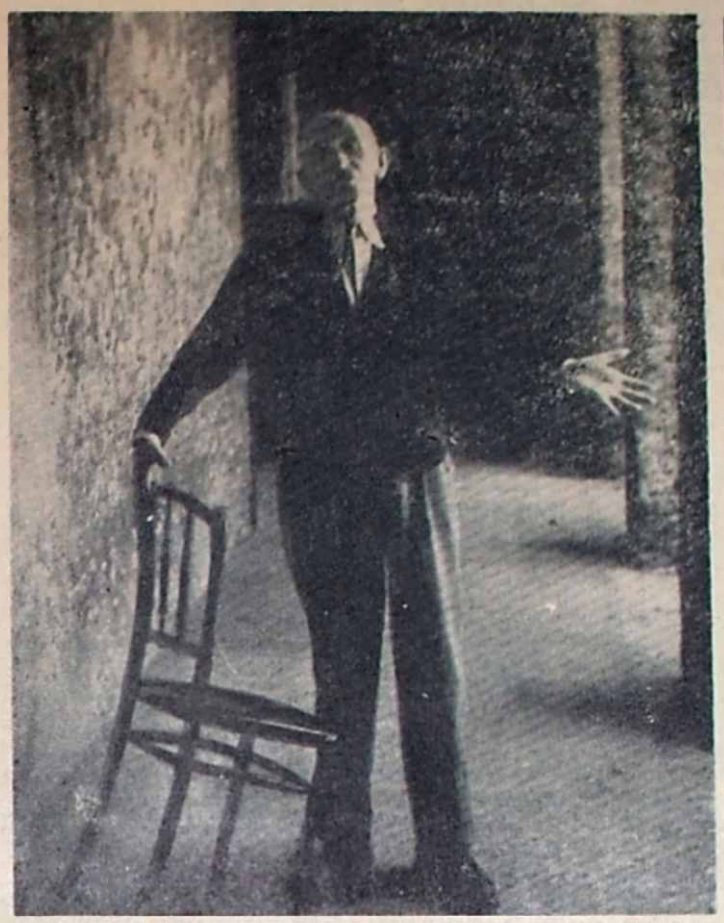

WIKTOR ZIOŁKOWSKI — współzałożyciel związku plastyków, organizator i pierwszy dyrektor powojennego Muzeum Lubelskiego, świetny krytyk — kilkadziesiąt już lat towarzyszy twórcom lubelskim. (O XXX-leciu okręgu lubelskiego ZPAP piszemy na str. 6—7).

Fot. J. Urban

WYOBRAŹNIA

JAN GERHARD

„Najgłupsza kobieta potrafi wodzić za nos inteligentnego mężczyznę; musi być jednak bardzo wytrawna, aby kierować durniem"

Rudyard Kipling

ALBERT oparł się na lewym łokciu. Prawą, wolną ręką szukał ostrożnie w ciemności wyłącznika nocnej lampki. Wreszcie udało mu się go znaleźć. Nacisnął guzik i w małym kręgu światła spostrzegł swój zegarek. Delikatnie ujął go w dwa palce i przeniósł nad ciałem leżącej obok dziewczyny. Była dopiero jedenasta. Śmiesznie wczesna godzina. Poruszył się niecierpliwie. Dziewczyna westchnęła przez sen. Nie widział jej twarzy. Tylko na poduszce włosy i nagie, smukłe ramię wychylające się spod kołdry.

— Obudź się — powiedział głośno i dotknął palcami tego ramienia.

Usłyszał nowe westchnienie.

— Zbudź się! — powtórzył ostrzej i swoją szorstką, muskularną dłonią przejechał po jej plecach.

Otworzyła nieprzytomnie oczy i przytuliła się do niego. Pogłaskał ją po piersiach. W prężności sutek wyczuł uległą gotowość. Zacisnął dłoń tak mocno, że dziewczyna jęknęła z bólu. Odwróciła się gwałtownie i całkiem już trzeźwo spojrzała na niego swoimi srebrzystymi, przejrzystymi jaka woda Północnego Morza oczami.

— Zostaw — skrzywiła się — zwariowałeś? To boli...

— Przepraszam — mruknął i cofnął rękę. — Trzeba wstawać...

— Dlaczego? — próbowała oponować. — Przecież jest noc.

— Właśnie dlatego — powiedział twardo. — Przejedziemy się.

— O Boże! Chyba jesteś niespełna rozumu. Wciąż tylko jedziemy i jedziemy...

Wyskoczył z łóżka. Spod przymrużonych powiek widziała jego niezwykle umięśniony i owłosiony tors. Nad szerokimi barami mała głowa o wysoko podgolonym karku. Niskie czoło, cofnięte głęboko oczy o stalowych błyskach, zaciśnięte wargi z krótko przyciętym romboidalnym wąsikiem takiej samej szarej barwy jak włosy. Mył się szybko i powierzchownie. Nie zdjął nawet tej swojej białej koszulki gimnastycznej, z którą zresztą, nie wiadomo dlaczego, nie rozstał się i w łóżku, wciągnął już slipy i spodnie; mozolił się nad sznurówkami od pantofli.

— Albert — powiedziała cicho.

— Co znowu?

— Nic. Bądź łaskaw się odwrócić. Chciałabym się ubrać.

Zaśmiał się krótko i od razu twarz jego nabrała wyrazu dziecka. Tak jest: czterdziestoletniego dziecka. Uśmiech wygładził ostre, kanciaste rysy, złagodził oczy.

— Zabawna jesteś — wzruszył ramionami. — Przed chwilą spaliśmy razem, a teraz każesz mi się odwrócić?

Patrzył jak dziewczyna wysuwa smagłe nogi spod kołdry i spoza tej osłony niezręcznie szuka koszuli.

— Masz. Tu jest... — podał jej bieliznę i znów się roześmiał odrzucając w tył głowę.

— Świnia!

— Dlaczego mnie tak nazywasz? — spoważniał.

(Dokończenie na str. 4)

Śladami „Placówki"

GABRIELA PAUSZER-KLONOWSKA

ZBIERAJĄC przez lat nieomal pięć materiały do swojej wiejskiej powieści, Prus, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, „jeździł w teren", a że, jak wiadomo, gnębiła go agorafobia (tj. lęk przestrzeni), nie czynił odległych wypraw. Podczas letnich nałęczowskich wakacji penetrował okolice ciągnące się między Nałęczowem a Lublinem. W tych jego wędrówkach towarzyszyła mu Oktawia Rodkiewiczowa, późniejsza żona Stefana Żeromskiego.

W swoich „Dziennikach" Żeromski zanotował: „(...) pani Oktawia opowiadała mi historię pisania „Placówki". Motywy wzięte były ze wsi Przybysławice i kolonii niemieckich, obok których się jedzie do Lublina. Pani Oktawia jeździła tam we dwójkę z Prusem, kiedy gromadził materiały. Chodzili tedy po chatach i nad rzeczką, o której mowa w „Placówce", siadywali po pół dnia u Niemców. Pisał Głowacki w Nałęczowie, zamknięty na klucz w swoim pokoju na dole".*)

Pragnąc wytropić zanikające już ślady realiów „Placówki" wybieram się z Nałęczowa do Tomaszowic i Płouszowic, gdyż właśnie między tymi wsiami, wzdłuż szosy prowadzącej do Lublina, ciągnęły się ongiś owe niemieckie kolonie.

*) Stefan Żeromski „Dzienniki", t. III, 1956, s. 496.

Autobus zatrzymuje się na szosie. Już z daleka przeświecają wśród zieleni białe ściany pałacu. To dawny dwór tomaszowicki. Mieści się tu teraz szkoła. Córka dyrektora szkoły, panna Krystyna Kowalówna, prowadzi nas najpierw do kaplicy tomaszowickiej, gdzie z zainteresowaniem odczytuję przechowywany tam zapis:

„Tomaszowice — brzmi notatka — wieś folwarczna, pow. lubelski gmina Jastków, parafia Garbów, odległa 12 wiorst od Lublina, 7 od Nałęczowa, ma 42 dymy, pałac dziedziców i wiatrak (...) Tomaszowice w XVIII w. przeszły do Dłuskich. Z tych ostatnich Anna Dłuska wystawiła istniejący pałac z kolumnadą frontową i kaplicą w r. 1863".

W latach, kiedy Prus pisał „Placówkę" Tomaszowice, (jak stwierdza wyciąg z ksiąg hipotecznych) przeszły z rąk rodziny Tomasza Dłuskiego do rodziny hrabiów Grabowskich. W roku 1880 Jadwiga Grabowska spłaciła braci i osiadła w Tomaszowicach wraz z mężem swym, Wojciechem Pieniążkiem. W 1885 roku, na podstawie jej testamentu Tomaszowice stają się własnością Wojciecha Pieniążka, który sprzedaje je w sześć lat po śmierci żony.

Z licznej plejady właścicieli Tomaszowic zainteresowanie moje

(Dokończenie na str. 8)

NIEPROSZENI I KREW

ANNA STROŃSKA

„Ej, muzyka, muzyka,
góralska muzyka,
cały świat obeszedł,
nie ma takiej nika..."

SPORA, może nawet większa część tych okaleczeń, a czasem tych śmierci, których nikt nie planował, nikt się nie spodziewał: ani człowiek odwieziony do szpitala, ani człowiek odwieziony do więzienia, dokonuje się podczas zabaw weselnych.

Zamieniona później w najgłośniejszy proces podhalański sprawa Łojasa miała charakter akurat nie typowy. Nie zdarza się, aby ludziom z miast zagrażało w tych stronach niebezpieczeństwo. Góral bił cepra, ponieważ sprowokowało go dwu innych ceprów, a także — ponieważ nie patrzył, kogo bije. Tak powiedzą wam w Bukowinie jeszcze dzisiaj i nie inaczej mówili w sądzie. Górale potrafią tłumaczyć zabójstwo, nie darują natomiast morderstwa. Współczesnemu ustawodawstwu na przekór — obydwa terminy są nadal ściśle respektowane i różnicowane w kodeksie moralnym środowiska, które nie zna przecież terminu „afekt" czy „premedytacja".

Przeszło mi przez ręce trochę akt, dokumentujących oskarżenia z artykułu 225 § 1 w nowotarskim sądzie. A także tych powszedniejszych, aż nadto powszednich: z artykułów o ciężkie i lekkie uszkodzenie ciała. Prawie wszystkie dają obronie dużą szansę. Prawie wszystkie wolne są od motywów trzeźwo planowanych, komercjalnych. Zwłaszcza zabójstwa z premedytacją należą do rzadkości. Klimat i technika konfliktów podhalańskich: najpierw — wódka, potem kłótnia, obraza, rachunek zatargów starych albo całkiem świeżych, potem — nadmiar siły zainwestowanej w czyn, liczba ciosów, z których śmiertelny bywa niekiedy już pierwszy, a których zadaje się nawet kilkadziesiąt. Zaciekle, nieprzytomnie, do upadłego: tak juhas bił w Bukowinie warszawskiego studenta. Właśnie b i ł, a nie z a b i j a ł. Tak się bije przy wszystkich wiejskich okazjach, osądzanych później — w zależności od siły napastnika i sił ofiary — jako sprawy o zabójstwa, albo sprawy o pobicie. Kompletna swoboda najprymitywniejszych pobudek emocjonalnych? Na pewno. Tutejsi zresztą też tłumaczą swoich oskarżonych „utratą rozumu".

* * *

To, co zdarzyło się w Bukowinie Tatrzańskiej, zdarza się gdzie indziej. Również w Zakopanem, skądinąd bardzo już odległym od wzorów góralskiego autentyzmu.

Obserwatorzy zagadnienia dochodzą do najrozmaitszych wniosków. Nowotarski oficer milicji podzielił się ze mną domysłem, że klimat, ciśnienie, brak jodu nie pozostają bez wpływu na tutejsze temperamenty. Nowotarski prokurator oskarża tradycje: „ojczyzna harnasiów, a w przyrodzie nic nie ginie. Proszę pogadać ze starymi, chętnie objaśnią, że za ich czasów dziewczyna nie spojrzała na chłopaka, który swojej doli za bitkę nie odsiedział..."

Wesela są różne. Bogate i biedne. Długie i krótkie. Tyle, że wszystkie z prezentami. I wszystkie z wódką.

Goście na początku jedzą mało, niektórzy nawet całkiem nie jedzą, bo grzeczność zakazuje. Niechże gospodarzom będzie wiadome, że nikt nie przyszedł głodny. Natomiast w alkoholowej materii ceremoniał nie ma nic do powiedzenia. Pije się

(Dokończenie na str. 3)

1966

SESJA Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu wzbudziła w całym kraju powszechne zainteresowanie. Rok 1966 jest rokiem kulminacyjnym obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego.

„Obchody Tysiąclecia — mówił na sesji OK FJN sekretarz KC PZPR, poseł Ziemi Lubelskiej, Witold Jarosiński — *"proklamował uroczyście 26 lutego 1958 roku Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Słusznie więc będzie jeśli plenum OK FJN zwróci się do Izby Poselskiej o uczczenie ostatniego roku jubileuszu uroczystą sesją w dniu 21 lipca br. i uzna za wskazane, aby w dniu święta narodowego, w XXII rocznicę Manifestu Lipcowego, zorganizować centralną uroczystość w Warszawie połączoną z defiladą wojskową i manifestacją młodzieży... Uważamy również, że należy uczcić powrót Ziem Zachodnich do Macierzy wzniesieniem pomnika godnego wielkości tych wydarzeń i położyć kamień pod jego budowę we Wrocławiu".*

Z innych uroczystości duże znaczenie będą miały tegoroczne obchody pierwszomajowe, Kongres Kultury Polskiej, Ogólnokrajowy Festiwal Kultury, 500 rocznica powrotu Polski nad Bałtyk, 45 rocznica Powstań Śląskich, odsłonięcie pomnika Bohaterów Westerplatte. Okazją do przypomnienia postępowych tradycji Konstytucji 3 Maja i wielkich postaci związanych z jej dziełem — Staszica i Kołłątaja stanie się przypadająca właśnie w tym roku 175 rocznica uchwalenia tego doniosłego aktu. Do programu obchodów Tysiąclecia włączy się również liczne jubileusze miast i osiedli szczycących się starą metryką swego powstania.

Na sesji OK FJN zasadnicze przemówienie wygłosił przewodniczący Rady Państwa Edward Ochab.

„Ponad 1200 szkół-pomników, 8,5 mld zł zebranych na ten wielki cel, obiekty wartości kilkunastu miliardów złotych zbudowane w oparciu o czyny społeczne we wszystkich zakątkach kraju to — stwierdził mówca — *piękne świadectwo patriotyzmu i ofiarności społeczeństwa polskiego, dowód, jak ważnym źródłem ideowego zaangażowania i mobilizacji energii stał się jubileusz Tysiąclecia".*

Edward Ochab wypowiedział się za podjęciem przez Ogólnopolski Komitet Frontu Jedności Narodu uchwały o kontynuowaniu zbiórki społecznej na budownictwo szkolne i zwrócenie się do całego narodu o jej poparcie. *„Cały naród swojej młodzieży — oto hasło, które przyświecać nam będzie w tym wielkim przedsięwzięciu".*

Ażeby lepiej realizować plan zbiórki pieniężnej, OK FJN podjął decyzję o połączeniu dotychczasowego Społecznego Funduszu Budowy Szkół i Społecznego Funduszu Odbudowy Kraju i Stolicy w jeden ogólnokrajowy fundusz społeczny pod nazwą Społecznego Funduszu Budowy Szkół i Internatów.

* * *

Na sesji OK FJN nie można było pominąć milczeniem słynnego „orędzia" biskupów polskich do biskupów niemieckich. Obszerne przemówienie na ten temat wygłosił I sekretarz KC PZPR, Władysław Gomułka. Punktem wyjścia do polemicznego wystąpienia I sekretarza stało się wygłoszone uprzednio na sesji OK FJN przemówienie Jerzego Turowicza, redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego".

„Red. Turowicz mówi — cytujemy Wł. Gomułkę — *że w podstawowej sprawie — w zagadnieniu granic na Odrze, Nysie i Bałtyku — nie ma różnic w społeczeństwie polskim, między komunistami, katolikami, wierzącymi, niewierzącymi i cały naród zajmuje jednolite stanowisko. Chociaż taki wniosek niezupełnie nasuwa się z orędzia biskupów polskich to jednak nie można im zarzucić, że robili oni koncesje graniczne. Koncesji granicznych nie robili, użyli tylko bardzo niefortunnych sformułowań. Np. używanego przez rewizjonistów zachodnioniemieckich sformułowania „poczdamskie obszary zachodnie". Wyrzekli się więc tego języka, jaki stosowali we Wrocławiu. To wszystko ostatecznie można byłoby inaczej potraktować, gdyby biskupi polscy odpowiednio ustosunkowali się do listu biskupów niemieckich, którzy zupełnie zdecydowanie stanęli na stanowisku rewizjonistycznym — mówili o prawie do ojczyzny (czyli podkreślali to, co głosi rząd boński) oraz mówili o przezwyciężeniu nieszczęsnych skutków wojny itd. Biskupi polscy nie tylko nie ustosunkowali się do tego negatywnie, ale uważali, że odpowiedź biskupów niemieckich jest pozytywna i że nawet w sprawie granic został zrobiony znaczny krok naprzód."*

Władysław Gomułka ostro skrytykował „Historię Polski" Oskara Haleckiego — książkę, którą sekretariat episkopatu, dla udowodnienia swych racji, ma przesłać episkopatowi niemieckiemu. O. Halecki, emigracyjny historyk, zieje głęboką nienawiścią do Polski Ludowej. Jego zdaniem w Polsce rządzą agenci komunistyczni, a historia Polski powstałej po pierwszej wojnie światowej pozostaje... „bez ostatniego rozdziału".

„Jego książka — mówił I sekretarz KC PZPR — *jest drogowskazem, który służy biskupom, reakcyjnej części episkopatu polskiego. Po tej linii chcieliby oni prowadzić Polskę".*

Nie sposób cytować całego przemówienia Władysława Gomułki. Warto jednak uwypuklić jeszcze ten fragment: *„Państwo i partia nie czynią żadnych przeszkód, jeśli idzie o swobodę wyznaniową, o wyznawanie kultu religijnego... Ale walczymy i będziemy ostro zwalczać wszelką działalność polityczną, jawną czy zamaskowaną, wymierzoną w interesy Polski Ludowej, w interesy narodu polskiego..."*

Dwudziestolecie Lubelskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Filozoficznego

Forum wymiany myśli

NIEDAWNO odbyło się uroczyste posiedzenie Lubelskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Filozoficznego, poświęcone 20 rocznicy powstania jednego z pierwszych w Polsce Ludowej towarzystwa naukowego. Było nim „Towarzystwo Filozoficzne i Psychologiczne", powołane do życia w Lublinie 4 grudnia 1945 r. Inicjatorami zorganizowania Towarzystwa byli: prof. dr Narcyz Łubnicki (filozof) oraz prof. dr Tadeusz Tomaszewski (psycholog). Wraz z prof. Stefanem Haraskiem oraz prof. J. Słupeckim weszli oni w skład pierwszego zarządu Towarzystwa, na którego czele stanął prof. dr Narcyz Łubnicki, piastujący funkcję prezesa nieprzerwanie aż do chwili obecnej. Obok wymienionych już uczonych członkami-założycielami byli między innymi naukowcy tej miary, co prof. T. Kielanowski (fizjolog), prof. J. Kleiner, oraz prof. J. Mydlarski (antropolog).

Na owym uroczystym posiedzeniu PTF zasłużony jego prezes prof. dr N. Łubnicki, oraz inni członkowie Towarzystwa, którzy brali udział w jego pracach od początku (prof. Urbański, prof. dr A. Teske, dr Podsiadłowicz, dr Subotowicz, mgr A. Wroński) mówiąc o dotychczasowym dorobku Towarzystwa, nie bez wzruszenia wspominali ten pierwszy bardzo trudny, ale pełen osiągnięć i twórczej aktywności okres.

Towarzystwo Filozoficzne i Psychologiczne powstałe w tym okresie skupiło prawie wszystkich najwybitniejszych intelektualistów ówczesnego Lublina. Od początku stało się ono forum wymiany myśli z zakresu różnych dyscyplin naukowych, już wtedy realizowało praktycznie tak popularne obecnie hasło integracji nauk, stając się w szczególności dla młodych naukowców świetną szkołą refleksji metodologicznych.

W pracach Towarzystwa aktywnie uczestniczyli i uczestniczą nie tylko filozofowie i psychologowie, lecz także przedstawiciele innych nauk, w szczególności zaś nauk matematycznych i przyrodniczych. Bardzo aktywnie np. współpracowali z Towarzystwem tacy wybitni matematycy, jak prof. Biernacki i prof. Mikusiński, oraz rozpoczynający wówczas swą karierę naukową profesorowie: Jerzy Łoś i Cz. Ryll-Nardzewski. Znaczny był także wkład pracy fizyków, którzy byli członkami Towarzystwa, z prof. St. Ziemeckim, W. Urbańskim, prof. A. Teske, dr M. Subotowiczem i mgr Wrońskim na czele. Referaty na posiedzeniach Towarzystwa wygłaszali również przedstawiciele nauk biologicznych, tacy jak prof. dr Fleck, prof. dr Laura Kaufman, prof. dr A. Paszewski i inni. Dużo mniejszy natomiast był udział przedstawicieli nauk społecznych i humanistycznych. Najbardziej aktywnym ich reprezentantem jest rektor prof. dr Grzegorz L. Seidler, który trzy razy na posiedzeniach PTF dzielił się rezultatami swych badań naukowych.

Oprócz metodologii nauk i filozofii przyrody stałym przedmiotem zainteresowań Towarzystwa są zagadnienia z historii filozofii, teorii poznania, etyki, estetyki, psychologii i religioznawstwa. Referaty na posiedzeniach wygłaszali również tacy wybitni filozofowie polscy z innych ośrodków, jak Tadeusz Czeżawski (Toruń), Roman Ingarden (Kraków), Tadeusz Kotarbiński (dwa razy), Władysław Tatarkiewicz (Warszawa) i inni. O swych badaniach naukowych mówili także: wybitny psycholog radziecki prof. Łuria z Moskwy, oraz religioznawca niemiecki prof. Kurt Rudolph z Lipska.

Praca Towarzystwa nie sprowadza się jednak wyłącznie do wymiany myśli między naukowcami w związku z problemami, które są przedmiotem ich badań. Bardzo ważną ze społecznego punktu widzenia stroną działalności Towarzystwa jest popularyzacja i upowszechnienie poza środowiskiem naukowym dorobku filozofii na przestrzeni dziejów, kształtowanie naukowego poglądu na świat, krzewienie racjonalizmu i kultury myślenia filozoficznego. Członkowie Towarzystwa wygłosili 73 odczyty popularno-naukowe przeznaczone dla mniej przygotowanych słuchaczy.

Członkowie Towarzystwa wykorzystywali również swoje kontakty naukowe i osobiste z życiem umysłowym innych krajów dla popularyzowania kultury tych krajów. Szczególnie godne uwagi pod tym względem są kilkakrotnie organizowane specjalne posiedzenia PTF popularyzujące dorobek i osiągnięcia kultury narodów ZSRR.

Lubelski oddział PTF jest jednym z najaktywniejszych w kraju i na pewno najstarszym w historii Polski Ludowej, bo w Lublinie już 10 lat działało Towarzystwo Filozoficzne i Psychologiczne, gdy powstało Polskie Towarzystwo Filozoficzne, którego oddziałem stało się odtąd Towarzystwo Lubelskie. Praca PTF w Lublinie zyskała sobie niewątpliwie uznanie społeczeństwa oraz zarządu głównego PTF. Dotychczasowe osiągnięcia Towarzystwa są w znacznej mierze zasługą jego prezesa prof. Łubnickiego, który inspiruje tematy, zachęca prelegentów, wykorzystując w tym celu swój osobisty autorytet i wreszcie sam bierze najaktywniejszy udział w wygłaszaniu naukowych i popularnonaukowych odczytów.

Wymownym świadectwem wysokiej oceny dla pracy PTF są liczne telegramy gratulacyjne z okazji jubileuszu.

Nie znaczy to jednak, oczywiście, że Towarzystwo może spocząć na laurach. Zarząd Towarzystwa projektuje np. częściej niż dotychczas organizować wieczory dyskusyjne, poświęcone aktualnym zagadnieniom nauki, kultury i życia społecznego. Można też jeszcze bardziej wzmóc tak doniosłą społecznie akcję popularyzacji rzetelnej kultury filozoficznej oraz naukowego światopoglądu, w większym niż obecnie stopniu nawiązując do pięknej tradycji pierwszych lat działalności Towarzystwa. Należy wciągnąć do aktywnego udziału w posiedzeniach naukowych środowisko studenckie.

Wydaje się również, że bardziej intensywna niż dotychczas współpraca z przedstawicielami nauk humanistycznych i społecznych powinna ożywić działalność PTF. Trudno przypuścić, że np. zainteresowania metodologiczne mają tylko matematycy, fizycy i biologowie.

Niektóre wieczory dyskusyjne można by przecież organizować wspólnie nie tylko, jak dotąd, z Towarzystwem Psychologicznym, lecz także z działającymi w Lublinie: Towarzystwem Socjologicznym, Towarzystwem Literackim, Towarzystwem Historycznym lub nowo powstałym Towarzystwem Nauk Politycznych. Byłby to dalszy krok w dziele integracji nauk.

Towarzystwo mogłoby wreszcie umożliwić środowisku kulturalnemu Lublina, a w szczególności młodszej generacji, zetknięcie się bezpośrednie z takimi sławami polskiej filozofii, jak Władysław Tatarkiewicz, Tadeusz Kotarbiński, Roman Ingarden czy Tadeusz Czeżawski. Profesorowie ci są już na emeryturze, a ich ogromna wiedza i umiejętność jej przekazywania nie są, jak się wydaje, wykorzystywane w sposób wystarczający i w pełni zadowalający. Dla młodego pokolenia w szczególności może to być naprawdę wyjątkowa okazja zetknięcia się z tymi wielkimi uczonymi.

Artykulik ten można, jak się wydaje, zakończyć apelem do władz wojewódzkich i miejskich o pomoc finansową dla tak zasłużonego dla Lublina towarzystwa naukowego.

B. D.

STEFAN LISTOSZ

ten dzień

więc w miłość cię wprowadzam jak w szerokie pole
rzucone z nagła wprost w zieloność oczu

rzeźbiłem ten dzień niby wiatr poranek
jak rosa trawę łąk oczyszcza z nocy
napełniłem go tobą niby winem dzban
i teraz kropla po kropli cię strąca

stał się więc tobą a ty nim się stałaś

weszłaś dostojnie w ten pejzaż łagodny
jakby przesieką w las i w owej chwili
tobą się stał żywiczny i leśny cień jodły

wejdę w twój widok jak w mocny deszcz lata
i rozgarnę powietrze by dotrzeć do ciebie
oczy twe na mnie spadną jak zielone jabłka
lub zimne winogrona zacznie się pragnienie

inne zaświeci słońce inny wiatr zawieje
i otuli nas ciężko jak kamienny las
o wiatr zazdrosny otulę cię szczelniej

dzień w bok odejdzie skamienieje czas

Lubartów

przegląd PRASY

PRZEKONANIE, że międzywojenne dwudziestolecie literatury polskiej da się w poezji sprowadzić do kręgu Skamandra i Awangardy, dawno już odeszło do krainy krytycznych przesądów. Od pewnego czasu utwierdza się świadomość, że w gruncie rzeczy obraz poezji tamtego czasu ma wiele planów i płaszczyzn, jest zjawiskiem bogatszym niż pospieszne uogólnienia. Krytyków i badaczy literatury pasjonuje obecnie wygląd poezji lat 1930—1939 (z grubsza biorąc) z jego, używając terminu S. Żółkiewskiego, „ciemną" tonacją. Za sprawą niektórych poetów Kwadrygi — Sebyły, Flukowskiego, grupy Zagarów — Zagórski, Rymkiewicz, a przede wszystkim dzięki Czechowiczowi, zaczyna się tworzyć nowa orientacja poetycka, dla której zarówno Skamander jak i Awangarda były elementami tradycji, z której się korzystało, jak też przedmiotem ostrej opozycji.

Jerzy Zagórski proponował kiedyś nazwać tę krystalizującą się postawę „syntetyzmem" co się nie przyjęło i do dziś nie wymyślono odpowiedniego terminu. Ostatnio próbował to uczynić Wiesław Paweł Szymański w „Ruchu Literackim", publikując rozprawę zatytułowaną *„Trzeci wyraz"*. Ten nowy nurt początkowo odznaczał się tym, że usiłował zająć w stosunku do rzeczywistości własną postawę filozoficzną-moralną. Nowa generacja wymagała poczucia heroizmu, wzywała do indywidualnego protestu w imię sumienia, głosiła postawę humanistyczną. Przed samą wojną „trzeci nurt" związał się, dzięki poezji i wypowiedziom programowym Czechowicza oraz artykułom L. Frydego z hasłem poezji czystej, głoszące kreacjonizm, fantazjotwórstwo, wymagając od poety etycznej postawy.

Szymański nie definiuje kształtów tego nurtu, choć zbiera bardzo bogatą dokumentację. Kończy swoją rzecz stwierdzeniem tyle ostrożnym, co przekonywającym: „Jeśli nie udało się obrysować wyraźnych konturów estetycznych autorowi tego szkicu, bo ich nie by'o, o tyle cały czas zmierzał on do tego, aby ukazać, że podłoże etyczne tego pokolenia było bardzo dobrze ugruntowane i że podłoże to wcześniej czy później wyzwoliłoby nowy, zupełnie odrębny wyraz poezji polskiej, ten, który górować już będzie w pokoleniu młodych poetów z lat okupacji hitlerowskiej".

W podobnym kręgu problemów obraca się rozprawa Jana Witana wydrukowana w „Przeglądzie Humanistycznym". Jej tytuł: *„Świadomość estetyczna Józefa Czechowicza (próba rekonstrukcji)."* W istocie — autor zgromadził i prześledził niemal wszystkie dostępne wypowiedzi teoretyczne i krytyczne Czechowicza, zadając kłam obiegowym przekonaniom, że autor *„nuty człowieczej"* rzadko wypowiadał się na ten temat. Na niemal 30 stronach druku Witan dokumentuje rozwój teoretycznego programu Czechowicza, który prowadził do mitotwórstwa, fantazjotwórstwa i poezji czystej, stanowiąc integralną część nowej orientacji poetyckiej. Taki program miał oparcie nie w tradycji awangardowej, ale w inspiracjach symbolizmu. Pisze na końcu autor:

„Świadomość estetyczna pozwoliła mu ukształtować model oryginalnej i stylowo czystej w dwudziestoleciu poezji, która dzięki takim swoim właściwościom, jak: metafizyczny niepokój, poszukiwanie dna prawdy o świecie i człowieku, kultu idealności i Arkadii; „niejasne-nienazwane" wizjonerstwo „nieśmiertelna muzyczność", aluzyjność i symboliczność, magia poetycka, związki z tradycją ludową, poetycki dramat sumienia i tragiczny humanizm — stanowią swoistą odmianę symbolizmu, przedłużającą i doprowadzającą do rozkwitu piękne tradycje poezji polskiej".

Nie zaznaczył jednak nigdzie autor, że ten zasadniczy końcowy wniosek był nieco wcześniej i po raz pierwszy w tak obszerny sposób postawiony i uzasadniony przez autora szkicu „W świecie poetyckim Czechowicza", na który Witan przy innej okazji się powołuje.

Interesujące uwagi poświęca w „Odrze" w artykule *„Róg obfitości"* Julian Rogoziński — tym razem poezji współczesnej, dzisiejszej. Obserwując ewolucję poezji polskiej ostatnich lat dochodzi do wniosku, że *„liryka rozszerzywszy swój zasięg, zmieniła również funkcję — wraz z innymi zresztą gatunkami literackimi, jak na przykład powieść coraz gorliwiej wchłaniająca elementy eseju"*. Rogoziński stwierdza, iż *„poezja dziś częściej niż powieść szuka inspiracji w dyscyplinach naukowych, takich jak socjologia, filozofia, etnologia, psychologia afektów czy głębin, a nawet matematyka (...), nie mówiąc już o historii"*.

I to chyba główny powód tak małej czytelności i dostępności poezji najnowszej.

Na koniec jeszcze jeden głos — o poezji polskiej na forum międzynarodowym. Ukazała się niedawno we Francji antologia poezji polskiej w opracowaniu K. A. Jeleńskiego, ze wstępem Cz. Miłosza, która na tamtym terenie po raz pierwszy dała tak szeroką panoramę poezji polskiej. Tygodnik „Kultura" przynosi rozmowę J. Przybosia, A. Sandaucra, M. Żurowskiego i J. Wilhelmiego na temat francuskiej antologii, traktującą ją z wielkim krytycyzmem. Prof. Żurowski wykazuje na licznych przykładach wątpliwą jakość przekładów, robionych przeważnie przez autorów nie znających języka oryginału, natomiast A. Sandauer podkreśla stronniczość w prezentacji poszczególnych poetów, dochodząc do wniosku, iż *„nie ważne jest, że się nas prezentuje Zachodowi, ale jak się prezentuje"*.

T. K.

Przepustka do nowoczesności

PIERWSZYM mieszkańcem Lubelszczyzny, który dzisiaj otrzymałby wszystkie możliwe doktoraty honoris causa i dyplomy wszystkich politechnik, był Jan Michałowicz. Ale przed 400 laty nie było politechnik i młody człowiek z powiatowego wówczas Urzędowa po prostu terminował u krakowskiego burmistrza Słońskiego, który jednocześnie był znakomitym budowniczym. Widocznie i dobrym pedagogiem, bo Michałowicz także zasłynął jako architekt, budując różne obiekty w kilku miastach Polski. Ale tytuł mistrza, jaki zyskał po ukończeniu terminatorstwa i praktyki czeladniczej, odnosił się do jego sztuki rzeźbiarskiej, którą ceniono tak wysoko, iż nazywano go polskim Praksytelesem.

Dzisiaj mamy w województwie ponad 8 tysięcy ludzi z dyplomami inżynierów i świadectwami techników. Armia to potężna i różnych specjalności, ostatnio przybył nawet jeden z nielicznych w Polsce doktorów inżynierów od instalacji sanitarnych i ogrzewania. A jednak wszystkie fabryki i przedsiębiorstwa, instytucje i spółdzielnie, przemysł, rolnictwo i leśnictwo wołają bez przerwy: dajcie nowych inżynierów! Potrzebujemy techników!

Niezwykłe zapotrzebowanie na kadrę techniczną wybuchło u nas niby wulkan jeszcze w czasie działań wojennych. Problem nabrzmiewał tak szybko i tak dotkliwie, że już w 1945 roku zwołano I Kongres Techników Polskich. W pierwszych dniach lutego w tym samych Katowicach odbędzie się V. Każdy z kongresów podejmował sprawy, które w określonych warunkach danego okresu były najważniejsze dla naszego życia gospodarczego, a pośrednio wpływały także na inne dziedziny. Chociażby ostatni z nich, gdzie wysunięto na czoło konieczność uprzemysłowienia budownictwa mieszkaniowego. Ten, kto ma dobre mieszkanie, może dużo wybrzydzać na to budownictwo: tu nie domykają się okna, tam kaloryfery zamarzły, w jednym budynku przecieka dach, w drugim kaloryfery. I będzie miał rację. Słusznie, i on, i my wszyscy, domagamy się poprawy jakości.

Ale jest i druga prawda, o której przy takich okazjach najczęściej się zapomina. W tych nie najlepszych mieszkaniach znaleźli się ludzie, którzy nieraz dziesiątkami lat żyli — jeżeli w ogóle można użyć tego słowa, zamiast wegetowali — w zwykłych piwnicach, wiatrem podszytych poddaszach, w ruderach i szopach, miejskich barakach i wiejskich chałupach. W nowych domach, nawet w tych z usterkami, ludzie czytają coraz więcej książek i gazet, częściej się myją i lepiej ubierają, oglądają telewizję i czyszczą paznokcie.

Do komitetu organizacyjnego V Kongresu Techników Polskich napłynęło, podobnie jak przed poprzednimi kongresami, tysiące najróżniejszych wniosków. Z samej tylko Lubelszczyzny dokładnie 277. Wysunęli je inżynierowie i technicy po zażartych nieraz dyskusjach w kołach zakładowych czy oddziałach stowarzyszeń technicznych. Są propozycje kontrowersyjne dla samych inżynierów, są takie, których realizacja będzie bardzo kosztowna i stąd na najbliższy okres nierealna, wiele podobnych wysuną inne województwa.

Mam przed nosem grubą stertę maszynopisów, oprawną w niebieski plastyk. To ułożone już w pewien porządek wnioski lubelskiego świata technicznego. Wyłaniają się z nich trzy zasadnicze problemy: jakość i nowoczesność produkcji, organizacja warsztatu pracy inżyniera i technika oraz jej efektywność, skuteczniejsze i szybsze wykorzystywanie zdobyczy nauki w produkcji. **Wydaje się, że to będą również myśli przewodnie całego Kongresu.**

JERZY DOSTATNI

Na swój prywatny użytek myślę, że właściwie całość problematyki można zamknąć w dwóch słowach: nowoczesność produkcji. Wszystko inne stanowi gęstą sieć dróg, z których ostatecznie każda prowadzi do celu. Cały problem polega na tym, aby wybrać nie polne dróżki czy brukowane kocimi łbami trakty, ale autostrady, którymi najprościej, najszybciej i najtaniej można dojechać do miejsca, gdzie się owe przepustki do nowoczesności wydaje. Niebezpieczeństwo polega tylko na tym, że owe przepustki wydaje się na czas nieokreślony. Pozornie wygląda na to, że po jej otrzymaniu można odpocząć, że można zająć się tylko zwiększaniem produkcji. A tymczasem wcale tak nie jest. Przepustka może stracić swoją ważność już po miesiącu albo po roku, czasem po dwóch, nigdy nie przetrwa pięciu. Konkurentów do zdobycia technicznego Olimpu nigdy nie brakuje — ani za sąsiedzkim płotem, ani na szerokim świecie. Nawet w kosmosie jest coraz więcej współzawodników. Zrobią lepiej i taniej, ich wyrób będzie trwalszy i bardziej estetyczny. Zresztą może tylko lepiej podany i opakowany, ale na światowym rynku to też się liczy.

Tymczasem z tą nowoczesnością produkcji bywa u nas bardzo różnie, nawet w tych najlepszych fabrykach. Odlewnia Fabryki Samochodów Ciężarowych robi odlewy najbardziej nowoczesną metodą Shawa — nie tego od „Pygmaliona" — a równocześnie ręczny wyrób rdzeni przypomina jako żywo dziecinną zabawę w żółtym piasku, tyle, że bawią się nie dzieci, ale ich mamy. W laboratorium pracuje silnik plazmowy, wybudowany na miejscu na podstawie materiałów z Instytutu Badań Jądrowych, a równocześnie w kuźni są urządzenia, których powinna się wstydzić nawet średnio wyposażona fabryka. W Kraśniku Fabrycznym zaopatruje się w łożyska pół Polski, kupują całe partie i nabywcy zagraniczni, ale najwyższy standard światowy dopiero zaczynamy robić. Czarna Białostocka do swoich lodówek używa agregatów z Poniatowej, ale nie są one jeszcze najlepsze i wciąż coś tam brakuje w technologii wykonania.

O nieprawidłowym wykorzystywaniu inżynierskiego czasu pisałem w listopadzie. Wyjątki z tego artykułu czytano nawet z aprobatą na Konferencji Samorządu Robotniczego w fabryce, o którą chodziło. Autorowi było przyjemnie, ale jednocześnie martwił się, że tak jest nie tylko w biurze konstrukcyjnym. A właśnie mam z tej dziedziny świeży kwiatek, nie pozbawiony zresztą wielu ubocznych aspektów. Przemysł owocowo-warzywny Lubelszczyzny jest bardzo poważnym kandydatem na miliardera — wartość jego rocznej produkcji obraca się około 900 mln zł. No i chyba dopiero trzy lata temu zgłosiło się do pracy 3 młodych inżynierów, wyspecjalizowanych w tej dziedzinie już po wojnie. Przyjęto ich nie tylko z otwartymi ramionami, przydzielonymi poza rozdzielnikiem mieszkaniami czy najwyższą stawką wynagrodzenia. Chłopcy byli mili i obrotni, znali się na dżemach, konserwach, sokach i owocowym winie. Dość, że po krótkim czasie wszyscy awansowali na zastępców technicznych dyrektora. I to chyba było w porządku, jeżeli ich poprzednicy nie mieli nawet średniego wykształcenia.

Po pewnym czasie wszyscy trzej dostali awanse na dyrektorów naczelnych. Teraz listy wychodziły z przetwórni opatrzone pieczęcią z napisem „dyrektor - inżynier". Brzmiało dumnie, nowocześnie, fachowo. Ale wkrótce okazało się, że w kadrze technicznej przemysłu owocowo-warzywnego ubyło 3 inżynierów. Jako dyrektorzy bowiem, jeździli na narady i sami je organizowali, czytali zarządzenia i sami je produkowali, podpisywali listy płac i delegacje. Byli dyrektorami, ale przestali być inżynierami. Ich zarobek jest tylko minimalnie większy, a strata dla techniki i technologii pracy w przetwórni wielokrotnie większa. I gdyby to nie wyglądało na degradację, właściwie wszystkich trzech trzeba by cofnąć na poprzednie stanowiska. A'e z takim wnioskiem nikt nie chce się wychylić, mimo że strata jest oczywista.

Albo przesada, do jakiej doszliśmy w dziedzinie sporządzania dokumentacji.

Jak widać, nie brakuje problemów ani do dyskusji ani — co wcale nie jest równoznaczne — do rozstrzygnięcia. Spodziewamy się, że najważniejsze z nich zostaną rozstrzygnięte na V Kongresie Techników, a pozostałe też nie będą długo czekały. Spodziewamy się, że V Kongres — podobnie jak poprzedni — będzie jakimś przełomem nie tylko dla świata ludzi techniki, ale i dla nas, korzystających z tej techniki na co dzień.

Białystok. Zaułek, którego już nie ma...

Fot. A. Kazberuk

WIESŁAW KAZANECKI

s a m

miasto zakrzywia się za rogiem jak ręka gdy sięga po skrok
śnieg padł ze znurzenia na ziemię
twój ślad został na nim odlogiem
podeszwa poszła dalej skrzypiąc skrzypiąc
nie ma kamieni światła, tylko mocno osadzone w oknach
rzucają się na jezdnię tuż pod koła
noc

Białystok

HENRYKA KOŚ

Pochód

Ten, który uczył mię miłości
posiwiał czasem przeszłym bezpowrotnie

Z daleka słyszę jego słowa:
werbel bijący w pusty czas.

Odejście moje —
pochód triumfalny,
czy powrót w nagłą ciszę,
nad którą zamknięty krąg
nad topieliskiem grząskim tajemnicy,
gdzie tylko źródła puls majaczy,
chorych urojenie?

Poznałam prawdę wielką:
oczekiwania — cierpliwością
wyznania — wybaczeniem
milczenia — troską.

I pochód moich dni
do tego celu:

bijący werbel w pusty czas.

Pod stopą zdeptana chorągiew.

Radom

NIEPROSZENI I KREW

(Dokończenie ze str. 1)

w kieliszkach, w szklankach, z flaszki, różnie. Przez noc. Przez trzy dni.

Goście weselni dzielą się na proszonych i na nieproszonych. Ci drudzy przychodzą zwykle później, już w trakcie zabawy. Przynoszą własne zapasy wódki, nigdy nie żądają poczęstunku. Chcą tańczyć, zwabiła ich muzyka. W mieście, gdzie przy jednej orkiestrze może się bawić i kilkaset par, sprawa byłaby prosta. Na Podhalu każdy taniec jest własnością, zapłaconą własnością, tylko jednej pary. Sprawa się komplikuje. Proszeni mają pierwszeństwo, nieproszonym nudno czekać. Muzyka, także podpita, gra temu, kto szybciej wyciągnie pieniądze. W kłótnię dwu mężczyzn momentalnie włącza się dwudziestu. Potem gaśnie rozbita żarówka. Potem uciekają kobiety. W ciemności nie widzi się przeciwnika, po wódce każdy może być przeciwnikiem.

Zdaniem górali początek zła zawsze tkwi w sporach z nieproszonymi. Tutejsi wiedzą, że łatwo o śmierć w ich powiecie. Martwią się. Sami chcieliby zmiany. Nie uważają siebie za złych ludzi i w sumie z pewnością mają rację. Statystyka wykazuje, że procent ciężkich spraw karnych na Podhalu wciąż jest bardzo wysoki. Okoliczności spraw wykazują, jak niewielu jest w Nowotarszczyźnie ludzi, którzy liczyli się z faktem, że zabijają.

* * *

Stanisław nie zabił. Jego miejsce w sprawie nie było na ławie oskarżonych, tylko na szpitalnym łóżku.

Pół roku szpitala. Potem klinika. Przerwa, znowu szpital. Wszystkie diagnozy identyczne. Nie do wiadomości chorego. Ten, kogo się leczy, musi mieć nadzieję.

Stanisław nawet nie uderzył. Zupełnie trzeźwy góral przy weselnym stole: to brzmi niewiarygodnie, ale to jest prawda. Umiał się obejść bez wódki.

Usłyszał krzyk, zdążył jeszcze zobaczyć, że ktoś chwyta krzesło, a ktoś inny ucieka. Na tym kończy się jego świadectwo. Siedział przy stole między gośćmi, zagadał się, więc nie tańczył, nieproszeni mu nie przeszkadzali. Napadnięto go już po ciemku. Ale czy to jest właściwe słowo? „Wszyscy bili wszystkich" — protokółowano później w sądzie opinię oszczędzonych kobiet. Nie ma sądu, który zrekonstruuje wierny przebieg masakry urządzonej w ciemności przez dziesięciu, a może dwudziestu młodych, pijanych, bardzo silnych ludzi.

Kiedy świadków jest niewiele więcej niż oskarżonych, tylko w przybliżeniu ustala się podział na świadków i na oskarżonych. Granica pomiędzy obserwacją i udziałem jest wtedy szczególnie płynna. Stanisław nie wie, nigdy nie będzie wiedział, czyja ręka zadecydowała o jego kalectwie. Sprawca też na pewno nie przypisuje sobie tej właśnie, sprecyzowanej winy. Okoliczności wykluczały precyzję. „Wszyscy bili wszystkich". W ciemności. Bez wyboru.

Zresztą tym razem nikt nie zginął. Ludzie zdążyli wrócić z więzień. I ze szpitali.

Stanisław ma niecałych czterdzieści lat. Trochę morgów. W domu żona i dzieci, jak u wszystkich.

Ciosy zadawano na oślep. Myślał, że ma złamany obojczyk albo żebra, ale to był kręgosłup.

Opuszczając szpital czuł się prawie dobrze, Innym rany goiły się dłużej.

Z tym można żyć, oczywiście.

* * *

Przyjechałam w długi czas po wypadku. Nie uprzedzono mnie. A należało się domyślać już podczas przywitania, kiedy patrzył jak taszczę walizkę przez głęboki śnieg i nie wyciągnął po nią ręki.

Weszliśmy razem do izby. Któreś z dzieci szybko uklękło, żeby zdjąć ojcu buty. Gazda chciał pomóc, ale nie potrafił. Zastanowiła mnie dopiero ta dłoń, wędrująca po sznurowadle w stronę węzła, a potem wycofana na wezwanie dziecka, ukradkowy gest, próba współdziałania, zakończona fiaskiem. I to jeszcze mogło być zmęczenie. Przez wszystkie dni mojego pobytu Stanisław pracował, bądź mnie, miejscowemu człowiekowi, mogło się wydawać, że pracuje. Żona milczała.

Dopiero w lipcu, w miesiącu sianokosów, domownikom zabrakło sił na pozory.

W lipcu wieś jest wyludniona, puste wozy przed słońcem wspinają się po ciężkich stromiznach miedz, żeby powoli wracać w ciemności z milczącymi ze znużenia ludźmi na wysokim, zeschłym grzbiecie traw. W domu nie zostaje nikt, pracują nawet dzieci. I to są najcięższe tygodnie Podhala. Sianokosy, góralskie żniwa, większe od zbożowych, dłuższe. Dni, podczas których szczególnie potrzebna jest siła mężczyzny.

Gazda godzinami siedział przed domem, wygrzewał się i oglądał swoje duże, zniekształcone robotą, prawie całkiem już nieruchome ręce. W przeddzień żniw zabrano do więzienia starszego syna, któremu zdawało się, że znalazł winowajcę. Przy sianie pracowały po osiemnaście godzin trzy kobiety: matka, żona, córka. Próbował również pomagać drugi syn, sześcioletni.

Rano gazda wychodził z domu razem z nimi, chociaż nie musiał. W spokojniejszych miesiącach kobiety obchodziły się z nim delikatnie, czyniono wiele starań, aby nie czuł się niepotrzebny. Teraz nie było na to czasu. W tym domu żniwa przerosły ludzi.

Musiał chyba usłyszeć jakąś rozmowę w nocy, albo płacz, który dochodził i do mnie. W każdym razie wstał nazajutrz wcześniej, jakoś ubrał się sam, a potem poszedł zaprzęgać.

Z wyprowadzeniem konia nie było jeszcze kłopotu. Gazda zdjął nawet uprząż ze ściany, przydźwigał do wozu, odpoczął. Twarz miał szarą i mokrą jak po deszczu.

Czekałyśmy. Matka gazdy zaczęła się modlić.

Nawet podniósł rzemień, kiedy ten ześliznął się z grzbietu klaczy i leżał na ziemi. Dopiero za drugim razem już nie potrafił. Wówczas ocknęła się żona.

— Odejdź — rozkazała. — Jak wiesz, że nie podołasz, to po co się bierzesz? Czasu nie ma, a ten psuje... Boże, Boże, na cóż my żyjemy?

Stanisław odszedł i stojąc blisko przy ścianie, żeby nie zabierać miejsca, przypatrywał się jak kobieta zgrabnie spina popręgi. Pod ruchami pewnych siebie rąk klacz uspokoiła się i bez zachęty podciągnęła wóz w stronę bramy, jednak nie dalej: dopiero teraz mogłam widzieć, że w opowiadaniach o Baśce, która uznaje tylko gospodarza, wcale nie było przesady. Przekręciwszy czule szyję, głuchy na babskie perswazje, koń cofał się i pieszczotliwym ale stanowczym rżeniem żądał obecności pana.

— Nie pójdzie — szepnął Stanisław.

Sześciolatek złapał Baśkę drzewcem bata, a nie doczekawszy się efektu, zlazł z kozła i skinął na ojca.

— Tato, jedźcie już i wy — rozsądził.

Chłop wciąż czekał.

— Stasiek, chodź, szkoda dnia — poprosiła żona. Dopiero wtedy z ociąganiem włożył czapkę, podszedł. Dziecko pomogło mu wspiąć się na wóz. Nie biorąc lejców w palce, przycisnął je lekko łokciem, szarpnął, potem oddał żonie. Pojechali.

— Niechby już było na tę stronę albo na drugą, niechby się już raz przechyliło — twardym głosem powiedziała stojąca za mną matka i przesunąwszy ręką po oczach, wróciła do roboty.

Anna Strońska

WYOBRAŹNIA

(Dokończenie ze str. 1)

— Bo się nie chcesz odwrócić.

— Jestem mężczyzną — powiedział z dumą i jakby szukając potwierdzenia tej konstatacji spojrzał na swoje odbicie w lustrzanej szafie. Tylko dzięki temu nie dostrzegł głębokiej ironii we wzroku ubierającej się dziewczyny.

— Dlaczego tu jest tyle luster? — usłyszał jej pytanie.

— Nie domyślasz się? Naprawdę?

— Nie.

— Mon Dieu! Wy z Polski naprawdę niczego nie wiecie... Dawniej był tu po prostu burdel. Kiedy wyszła ustawa pani Marthe Richard i domy publiczne zostały zamknięte, zrobiono z tego hotel. To wszystko.

— Zaprowadziłeś mnie więc do burdelu — mruknęła dziewczyna. — Rzeczywiście mogłam się tego domyśleć.

— Dama! — odrzucił Albert. — Masz przecież oczy. Mogłaś od razu dostrzec to lustro na suficie, czerwone portiery, tę cholerną szafę, raj na obrazku i bidet. Myślałaś, że jesteśmy w Wersalu?

— Dlaczego chcesz mnie upokorzyć? Czy musisz być tak brutalny?

— Dama — powtórzył mężczyzna. — Czy myślisz — mówił dalej — że ja nie wiem, dlaczego jesteś ze mną? Artystka, malarka, wrażliwa dusza subtelna i wykształcona ze zwykłym mechanikiem samochodowym... Widzę przecież, jak patrzysz na moje ręce. Co mogę zrobić? Myję te lapy i myję, ale smar nie chce z nich wyjść. Wrósł mi w skórę i został, krew by go zalała! Zresztą nawet, żebym umył, to i tak znów jutro będę się musiał babrać w tym smarze. Więc po co? Poza tym, to ci jakoś nie zawsze przeszkadza. Na tweedowym kostiumie albo na tym płaszczu z czarnej skóry, jaki ci kupiłem, nie ma śladu smaru. Będziesz paradować w Warszawie i nikt się nie domyśli... Twoi malarze, artyści, architekci, reżyserzy, doktorzy będą się na ten płaszcz łapać. „Jak pani cudownie wygląda, pani Roxano! Jaka pani jest delikatna i urocza, pani Roxano! Dlaczego pani jest taka niedostępna, pani Roxano!" — tak będą gadać. Prawda? A jeszcze jak przyjedziesz w tym samochodzie, który ci przyrzekłem, to oni już całkiem stracą głowę. No nie?

Dziewczyna malowała usta.

— Dlaczego się nie odzywasz? — napierał mężczyzna.

— Masz kompleks, Albercie — powiedziała chłodno i zatrzasnęła wieko puderniczki. — Masz kompleks. Nie jesteś przecież zwykłym mechanikiem, a właścicielem dużego garażu.

— To nie zmienia postaci rzeczy. Zawsze zostanę zwykłym mechanikiem. Tymi łapami — wyciągnął swoje dłonie o krótkich palcach, niemal bez paznokci — dorabiałem się przez dwadzieścia pięć lat wśród k a t a n ó w, aby móc takim jak ty kupować kostiumy i płaszcze skórzane, dawać samochody, używane wprawdzie, ale na chodzie, nie licząc pończoch i różnych drobiazgów...

— Czy wszystkim to w ten sposób wypominasz?

— Wszystkim i zapewniam cię, że żadna się jakoś nie zraża.

— Ja tak — powiedziała i spojrzała mu prosto w oczy.

— Przecierpisz — syknął z gryzącą ironią. — Wiesz dobrze, jak szybko to minie. Potem wrócisz do siebie i nikt nie będzie nic wiedział. Nawet twój mąż.

— Jestem gotowa — zakomunikowała dziewczyna. — Idziemy?

Była już w czarnym skórzanym płaszczu. Wkładała rękawiczki.

Zeszli w dół po skrzypiących wypastowanych na połysk schodach, wyłożonych czerwonym chodnikiem. Ona przodem, on za nią z walizeczką w ręce. Hotelarz w kamizelce i z zawiniętymi nad łokcie rękawami skinął im przyjaźnie głową odbierając klucz od pokoju.

Po kilku minutach odnaleźli zaparkowany w bocznej ulicy samochód. Albert ruszył tak ostro, jakby chciał ostatni dech wydusić z silnika. Dziewczyna siedziała obok niego. Noc była chłodna i jasna.

Na zewnętrznych bulwarach Albert nabrał szybkości. Wyprzedzał jeden samochód po drugim. Jego wóz wykonywał przy tym zawrotny slalom na jezdni. Opony piszczały w cichym proteście na zakrętach.

— Jedziesz jak Fangio — powiedziała Roxana.

— Byłem w swoim czasie zawodnikiem na torze wyścigowym — oznajmił Albert. — Zapowiadałem się na mistrza, ale moja żona i sprawy pieniężne odciągnęły mnie od tego celu.

— Szkoda — szepnęła dziewczyna. — Byłbyś z pewnością wspaniały.

— To jest tylko kwestia odwagi i wyczucia. Lubię ryzyko... Jak jedziesz, ty stary dzwonie?! — rzucił pod adresem jakiegoś kierowcy, który nie dość szybko ustąpił mu z drogi.

Przejeżdżali przez Porte de Pantin. Zaczynały się wschodnie przedmieścia Paryża.

— Dokąd jedziemy? — zapytała Roxana.

— Obojętnie. Przed siebie — mruknął.

— Lubisz tak jechać?

— Tylko to naprawdę lubię. Najlepiej się czuję, gdy ruszam w drogę, najgorzej gdy dojeżdżam do celu... Coś tam stuka w schowku — przerwał nagle zwierzenie. — Aha. To mój rewolwer. Przyłóż go tą szmatą. Niech przestanie brzękać — polecił.

— Po co wozisz ten rewolwer ze sobą?

— Ba — uśmiechnął się tajemniczo. — Mam różne powody. Poza tym to moja pamiątka z wojny koreańskiej. Rodzaj talizmanu.

— Z wojny koreańskiej? A mówiłeś, że z Konga.

— Mówiłem, że z Konga? Możliwe. W końcu co za różnica?

— Wojna to straszna rzecz — westchnęła Roxana.

— Męska sprawa — oświadczył Albert i jeszcze dodał gazu. — Nigdzie się tak dobrze nie czuję, jak w walce, w ogniu. Dopiero wtedy wiem, że żyję, gdy ze wszystkich stron grozi śmierć.

Samochód był już na szosie za miastem. Strzałka szybkościomierza wskazywała 130 kilometrów na godzinę.

— To dziwne — mówiła dziewczyna — twoja żona twierdzi, że od kiedy przyjechałeś w 1935 z rodzicami z Polski, nigdy nie ruszałeś się z Paryża, a od ciebie dowiaduję się wciąż, że zjeździłeś cały świat.

— Moja żona... Nie słuchaj mojej żony. Ona gada głupstwa. To idiotka.

— Dlaczego się o niej tak źle wyrażasz? Bardzo porządna kobieta.

— Porządna? Diabli wiedzą pod jakim względem... Chciałaby, żebym wciąż tyrał jak wół roboczy, a wieczorem szedł z nią do kina, albo oglądał w domu telewizję. Myślisz, że nadaję się do takiego życia? Oszalałbym.

— Większość żon ma podobne aspiracje. To normalne.

— Możliwe, ale dlaczego ona wszystkim opowiada, że ja zmyślam swoje historie i nazywa mnie „kowbojem z własnej fantazji"? Sądzisz, że to przyjemne?

Dziewczyna spostrzegła kilka kropelek potu na jego czole w świetle tablicy rozdzielczej samochodu. Nagle zrobiło się jej żal tego starzejącego się już mężczyzny, który w tej chwili wyglądał jak uczniak przyłapany na gorącym uczynku.

— Prawdę mówiąc, nie obchodzi mnie najzupełniej, jak tam było z tym wszystkim — powiedziała w przypływie dobroci. — Przyjmuję cię takim, jakim jesteś.

— Wiem — szarpnął się Albert — ciebie teraz interesuje obiecany samochód. Bądź spokojna: otrzymasz go. Nie rzucam słów na wiatr.

— Niedobry jesteś. Nie rozumiem, dlaczego wciąż chcesz się wydawać kimś innym?

Nie skrywała teraz urazy. Patrzyła w przeciwną stronę. Albert nie odpowiadał na jej pytanie. I tak niczego by nie pojęła. Nie dlatego że jest głupsza od innych, ale ma niewiele więcej niż 25 lat i poza tym nikt nie potrafi się naprawdę wczuć w los drugiego. Albert milczał więc i w duchu tylko odpowiadał na pytanie dziewczyny.

Był właśnie w swoim garażu przy ulicy Balzaka. Zaczynał się dzień. Jeden z tych trzystukilkunastu roboczych dni roku.

— Samochód dla pana radcy! — woła Majewski od wrót wjazdowych. Woła po polsku, bo zjawił się jeden z urzędników polskiej ambasady po swój samochód.

— Co słychać, panie Albercie? — pyta urzędnik.

— Ano nic. Bardzo ładny dzień, panie radco.

Urzędnik podaje mu rękę, wsiada do wozu i odjeżdża. Albert chętnie porozmawiałby z nim dłużej. Bardzo go ciekawiło, kiedy tamten opowiadał o partyzantce podczas okupacji w Polsce. Albert chłonął każde słowo, zwłaszcza, gdy radca mówił o walkach na jego rodzinnej Lubelszczyźnie. Jak przez mgłę przypominał sobie z odległego dzieciństwa jakiś sad, studziennego żurawia i niski dom o bardzo jasnych ścianach. To było wszystko co mu pozostało w pamięci.

— Powinien pan odwiedzić swoje strony — mówił radca i Albert gorąco podzielał jego zdanie, ale jakoś nie było czasu. Nie mógł zostawić garażu. „Interes musi się kręcić" — twierdziła Tekla i brzmiało to jak rozkaz, jak hasło, które mógłby wywiesić na transparencie w poprzek całej hali z samochodami, nad warsztatem w podziemiu, nad dzierżawioną stacją benzynową firmy Shell i samochodami do wynajęcia. Przez dwanaście godzin nie wolno mu się było stąd oddalić.

Gruby detektyw z Interpolu klepał go poufale po ramieniu. Albert był dumny z tej znajomości. Detektyw opowiadał mu, jak wspólnie z całą plejadą swoich policjantów ujął gangstera Bambino, herszta szajki handlarzy żywym towarem z ośrodkami w Marsylii, Antwerpii, Rotterdamie i Hamburgu. Co za rozmach! Wszystkie gazety o tym pisały. Detektyw zgadał się czasem, aby Albert postawił mu aperitif w sąsiednim barze i to były najprzyjemniejsze chwile. Wielu ludzi mogło wtedy zobaczyć jakie Albert ma znajomości.

Major Cossals przyjeżdżał co sześć tygodni swoim samochodem do konserwacji. Wszyscy w garażu wiedzieli, że ten oficer regularnie wymierza porcję batów swojej żonie, ale był to niewątpliwy bohater. W Korei spalił miotaczem ognia całą partię jeńców. Pod Hanoi dowodził „oddziałem specjalnym" i wieszał Wietów bez litości, ale miał przykrą sprawę z powodu jakichś operacji piastrami. Wysłano go do Algierii, gdzie stracił dwa palce u prawej ręki. Teraz był w Paryżu. Z pięcioma rzędami wstążeczek orderowych na lewej piersi. Z nieodłączną trzciną pod pachą. Tą trzciną właśnie walił żonę, gdy wypił za dużo calvadosu. W opowiadaniach majora Cossalsa wojna, pożogi i krew mieszały się i znakomicie harmonizowały z jurnym seksualizmem, co razem wzięte wydawało się Albertowi syntezą prawdziwej męskości.

— Alors, monsieur Michel! Ca va? — wołał major swoim „spalonym" głosem.

— Ca va, mon commendant! — odpowiadał służbiście Albert i mimo woli stawał na baczność.

Cossals nie dawał się długo prosić. Obaj szli do baru i wychylali dwie, trzy szklaneczki calvadosu albo pastisu.

— Pod Binh-Goa — opowiadał major — złapaliśmy łączniczkę Wietów. Była m i g n o n n e. Od razu to spostrzegłem. Kazałem ją wykąpać i przyprowadzić do mego namiotu. Okazała się f o r n i d a b l e! Przytrzymałem ją całą noc, a rano oddałem kompanii Legii Cudzoziemskiej. W wojsku trzeba podtrzymywać koleżeństwo. No nie?

Goście w barze potakiwali. Major przeciągał się nonszalancko i wystawiał na próbę ich ciekawość. Zawsze przerywał w jakimś interesującym miejscu. Podejmował wątek dopiero, gdy wyczuł prawdziwe napięcie w otoczeniu.

— Ona była jednak bardzo dzika, ta Wietka, i podstępna jak oni wszyscy. Sierżant Legii ani się obejrzał, a już miał w brzuchu ostrze własnego bagnetu. Wbiła mu je aż po rękojeść...

— Co się z nią stało? — pytał Albert, jakkolwiek Cossals już n-ty raz opowiadał tę historię.

— Legionerzy przywiązali ją do słupa w pełnym słońcu i posmarowali konfiturą. Reszta należała do owadów i była sprawą głodu — wyjaśnił major.

Albert zdawał sobie sprawę z tego, że istnieje jakaś zasadnicza różnica między tym, co opowiadał o wojnie urzędnik polskiej ambasady, który był partyzantem w jego rodzinnej Lubelszczyźnie, a tym co mówił o swoich kompanach Cossals, jednakże istoty odmienności nie chwytał. Pierwiastek przygody był dla niego najważniejszy.

— Ten major to horrendalna świnia — stwierdził Majewski. — Nie protestowałbym, gdyby jego tak przywiązano w tropiku do pala na słońcu i posmarowano konfiturą. Sam bym się do tego przyłożył.

— To jest zwykły zbrodniarz wojenny — uzupełniał elektryk i splunął.

Majewski i Henri należeli do CGT i uchodzili za „czerwonych". Dla Alberta jasne było, że wypowiadali się tendencyjnie. On sam nigdy i nigdzie nie należał. „Po co ci to? — mówiła Tekla — Interes jest najważniejszy". Przyznawał jej rację. Zebrania, wiece, różne rewindykacje nudziły go jak sto diabłów.

Do garażu przychodziło wielu klientów znających świat i ludzi. Opowiadali o Ameryce, Australii, Afryce. Albert grzebał się w silnikach, liczył pieniądze w kasie, kontrolował swych pracowników, kupował i sprzedawał używane samochody, kłócił się z dostawcami akcesoriów, omawiał z klientami zalety i wady nowych modeli.

Wieczorem szedł do domu. Tekla podawała kolację. Patrzyli na ekran telewizora, w sobotę wieczorem szli do kina. Codziennie przed zaśnięciem Albert pogrążał się z zainteresowaniem w comicsach, w których, o dziwo, znów odkrywał historie grubego detektywa z Interpolu lub majora Cossalsa w niezliczonych wariantach. Najbardziej pasjonowała go postać Supermana, barczystego młodzieńca w okularach, który mógł dosłownie wszystko. Nie było dla niego przeszkód: unosił się w powietrzu, przechodził przez ogień i wodę. Tekla mówiła coś idąc do łóżka, ale on nie słuchał. Uważała się za podobną do Grety Garbo, tleniła włosy, wkładała purpurowe bluzki i pantofle na bardzo wysokich obcasach. Greta Garbo dawno już wyszła z mody i Tekla nie istniała dla Alberta. Starał się jej nie dostrzegać.

— Nigdy nic nie mówisz — skarżyła się, podczas gdy on myślał o Supermanie.

Zapraszał czasem do domu różnych studentów, stypendystów i innych przybyszów z Polski. W przerwie obiadowej chodził specjalnie na ulicę Taitbout, pod bank Polskiej Kasy Opieki, aby ich tam spotykać. Lubił z nimi rozmawiać. Utyskiwali na trudności w kraju, na bałagan i rozmaite braki. Nie bez zdziwienia konstatowali, że u Alberta osiągają całkiem odwrotny efekt od oczekiwanego.

— Ech! — zapalał się. — Ja to bym tam zakasał rękawy. Mięczaki jesteście — starał się mówić swoją łamaną polszczyzną. — W takim dziewiczym kraju ma się coś do zrobienia i można być mężczyzną. A tu co? — krzywił się z niesmakiem —Wszystko urządzone, gotowe. Nuda, że zwariować można. Wszystko macie przed sobą, a skarżycie się...

— No to dlaczego pan tam nie pojedzie? — pytano go.

— On? — śmiała się złośliwie Tekla. — Jest już przecież stary.

Albert garbił się i patrzył na nią spode łba. Obdarowywał przybyszów czym mógł. Od czasu do czasu miał krótkie romanse z dziewczętami i domyślał się, że Tekla o tym wie.

Garaż, Tekla, kino, telewizor, Superman, Interpol, Korea, Wietnam, Kongo... Obrazy migają, jak drzewa w świetle reflektorów wozu.

Jechał teraz wolniej. Oboje milczeli. Szosa była pusta. W nielicznych domach przy drodze dawno już pogasły światła. Jaśniały tylko stacje benzynowe, w których drzemali ludzie w granatowych kombinezonach.

— Słuchaj — odezwał się do swojej towarzyszki — posłuchaj mnie dobrze... Gdybyś chciała, moglibyśmy pozostać razem. Rzucilibyśmy to wszystko. Pojechalibyśmy do Polski... Dlaczego milczysz? Trzeba tam chyba mechaników?.. Pracowałbym do cholery jasnej! Nie podoba ci się to? No więc moglibyśmy się szurnąć do Kanady albo Australii. Mam pieniądze, nie bój się. Zarabiałbym, a ty mogłabyś malować. Stałabyś się sławna. Powiedz słowo... Mówię poważnie: zrobię to.

Przerwał, bo spostrzegł, że dziewczyna uśmiecha się w półmroku.

— Co cię tak rozśmieszyło?

— Nic. Wyobraziłam sobie tylko to, o czym mówisz.

— No i co?

— Nie możesz się obyć bez fantazji.

— Tak sądzisz?

— Oczywiście. Zresztą nie pojechałbyś wcale.

— Dlaczego?

— Bo twoja żona ma bardzo bogatego ojca i oboje czekacie na dziedzictwo po nim. Sam mi mówiłeś, że z tego powodu się z nią nie rozwodzisz. Nie pamiętasz?

— Zrezygnowałbym.

Nieoczekiwanie zatrzymał samochód, po czym wykonał na szosie łuk i zawrócił. Znów jechali w kierunku Paryża. Z taką samą szybkością, z jaką przedtem oddalali się od miasta. Wyrzucał z siebie słowa niemal w rytmie uderzeń tłoków silnika.

— Jesteś za wielką damą. Co dla ciebie znaczy taki mechanik samochodowy o brudnych rękach jak ja. Niby to wy w Polsce macie teraz demokrację, ale przekonałem się, że dużo z tego, co ,było, pozostało. Nie uważasz mnie za partnera dla siebie. Głupstwo... Nie bój się: samochód dostaniesz. Jestem przy tym dwa razy starszy od ciebie. To też się liczy... No nie. Sam plunę na to wszystko. Mówicie, że nie byłem w Korei. Natrząsacie się ze mnie. Mam to w pięcie. Nadejdzie dzień, prysnę stąd na cztery wiatry. Czombe potrzebuje ochotników. Zaciągnę się. Będę się bił. Poczuję, że żyję. Ucieknę od tego zakichanego garażu, mojej żony, jej kina i telewizora, od takich kochanek jak ty, które zjawiają się tu z kraju i idą ze mną do łóżka za kostiumy ze skóry i używane samochody, aby natychmiast zniknąć i imponować tam u siebie innym amantom, mężom czy swoim znajomym tymi kostiumami i samochodami. Muszę to zrobić. Muszę!

Samochód podskakiwał znów na kocich łbach Porte de Pantin.

— Odwiozę cię do hotelu — oznajmił Albert.

Skinęła głową bez słowa.

— Muszę już wracać do domu — monologował. — Jutro mam pilną robotę w garażu, a poza tym moja żona urządzi mi piekielną awanturę za to, że tak późno wracam.

— Zobaczymy się jutro? — zapytała.

— Naturalnie — powiedział pośpiesznie. — O siódmej, po zamknięciu garażu. Wyjeżdżasz dopiero za tydzień.

— Za dziesięć dni — poprawiła go.

— Za dziesięć dni! — uśmiechnął się radośnie i zatrzymał wóz przed hotelem.

Nie był to ten sam hotel, w którym znajdowali się poprzednio, ale podobieństwo z tamtym było uderzające.

— Znów dawny dom publiczny? — wyrwało się dziewczynie.

— Niestety, nie mogę sobie pozwolić na umieszczenie ciebie u Ritza — powiedział mężczyzna i uchylił przed nią drzwi samochodu.

Jan Gerhard

Z tomu opowiadań „Nie ma El Dorado" w druku. Wyd. MON.

Fot. Andrzej Polakowski

Smok zmotoryzowany

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

OKRES wojującej dydaktyki teatralnej trwał u nas stosunkowo niedługie lata, lecz te lata jakoś się widzowi dłużyły, znaleźliśmy się więc ostatecznie w fazie antytezy — dziś dyrektorzy wielkich scen, a nawet teatrów ogromnych, mówią pełnym głosem: „Trudno, widz chce się bawić!" Tak mówią i postępują konsekwentnie. Ale nic w naturze nie ginie. Tym bardziej dydaktyka. Obecnie zaaplikowano u nas podwójną jej porcję „miłusińskim", sympatyczny Teatr Lalki i Aktora w Lublinie wystawił na zlecenie Państwowego Zakładu Ubezpieczeń czeską sztukę pt. „Smok między nami".

Rzecz jest naprawdę nader pouczająca i jak najbardziej aktualna. Chodzi o niebezpieczeństwa, jakie czyhają na dziecko ze strony wzmożonej motoryzacji. Oto treść bajki-niebajki. Pewien smok, dostawszy się podstępnie do bajecznego zamku, skonsumował rezydującą tam księżniczkę. Oczywiście przysmaku starczyło na jeden łyk. „Trzeba z czegoś żyć" — powiedział sobie bydlak i przy kolaboracji niegodziwej czarownicy przeistoczył się w szalejący po drogach samochód. Atoli dwóch dzielnych chłopców wyruszyło na wyprawę, by rozprawić się z potworem. W tragicznym dla niego finale, który jest happyendem dla grzecznych dziatek, potwór rozbija się „w drebiezgi" o latarnię. Co do księżniczki, poszła zwyczajnie w niepamięć, była przecież tylko przekąską pobudzającą apetyt.

Autor, Jerzy Kaliba, napisał sztuczkę rozsądnie i zręcznie, a nasz Teatr im. Andersena bardzo ładnie ją wystawił w reżyserii dyr. Stanisława Ochmańskiego, będącego, jak wiadomo, wybitnym fachowcem.

Właśnie ta fachowość kierownictwa zasługuje przede wszystkim na podkreślenie, jej bowiem zawdzięczamy wypieszczenie każdego szczegółu inscenizacji, które daje nienaganny spektakl. Dorosły widz, jeśli nie był całkowicie pochłonięty sprawowaniem podopiecznej latorośli, musiał wręcz podziwiać estetyczne dekoracje (zwłaszcza wyrastające z zapadni miasto), lalki stylizowane z umiarem zabezpieczającym ekspresję, w ogóle całą scenografię Freda Kosmali, do której należały m. in. takie rekwizyty-postacie, jak Autosmok — bohater negatywny, Ciągnik — bohater pozytywny, i unikający kolizji ze względu na własną... karoserię obywatel Autolux. Dopieroż by tu mógł mieć używanie miłośnik metafor!

Ale metaforyka społeczno-polityczna nie zakłóca pogody publiczności Teatrzyku im. Andersena. Smok to smok, samochód to samochód. Trochę mnie jednak zaniepokoiła cisza na sali. Jakby makiem zasiał. Dlaczego? Jednak gdyby się te aniołki nudziły, co najmniej skrzypiałyby fotele niczym w teatrze dla dorosłych. Zdaje się po prostu, że sensacyjny wątek nasunął przypuszczenie z praktyki życiowej: ten ładny czerwony samochodzik hasa jak chuligan, może zaraz przyjdzie pan Milicjant z bloczkiem, spokój!

Wniosek o rzeczowym podejściu dzieciarni do sprawy potwierdziło zapanowanie żywiołu w akcie III, — żywiołu zresztą opanowanego przez Zbigniewa Wilczka, który poprowadził wesoło i z wdziękiem (przypominającym Duriasza z telewizyjnego „Dobranoc") „konkurs" w zakresie umiejętności przechodzenia przez jezdnię. Wilczek był jedynym aktorem na proscenium. Pozostali: Małgorzata Ejsmund, Liliana Ochmańska, Wanda Wilhelm, Kazimierz Lutomski oraz anonimowi adepci sztuki lalkarskiej — objawiali swój talent poprzez lalki i rekwizyty, których ruchy odznaczały się naturalną swobodą, a zarazem komizmem, jaki przystoi ruchom lalek przejętych swoją misją. Zwłaszcza Smok, zgrabny i zwinny nawet w pijackim szale, był na wysokości zadania artystycznego (obawiam się, że nawet zbyt atrakcyjny). Imponowały też skoki wzwyż Baby Jędzy (odzianej w pomysłowy kostium „astrologa").

Przeciwnie, Duch dziennikarza, przeznaczony chyba dla dorosłych, trochę za mało straszył swym szkieleciskiem, pod przejrzystą, „schematyczną" szatą.

Cóż jeszcze? Muzyce Jadwigi Lewandowskiej na pewno nie zaszkodziły lekkie reminiscencje z „Miłości do trzech pomarańcz", a piosenki Janusza Pilarskiego też brzmią przyjemnie. W związku z nimi trzeba wspomnieć o zaletach przekładu Jerzego Zaborowskiego. Jest dowcipny, operuje rezolutnie męskimi rymami — aż nasuwa się chwilami myśl o Chochole z „Wesela".

W sumie spektakl podobał mi się nie mniej niż mojej sąsiadce w rzędzie, Nice, która jest o... dziesiąt lat młodsza ode mnie. Stąd wniosek: dobre przedstawienia lalkowe są uniwersalne.

Ale niezależnie od tych dydaktycznych, warto by pomyśleć o wprowadzeniu do repertuaru uszczypliwszej satyry aktualnej.. Cóż kiedy ten Ludwik XV zabronił marionetkom „wtrącania się do spraw zbyt poważnych jak na lalki"...

BIAŁYSTOK — „miasto nieteatralne"?

ZBIGNIEW FĄFROWICZ

BUDYNEK stoi na skraju szerokiej alei, wtopiony w zieleń otaczającego go parku. To Państwowy Teatr Dramatyczny im. Aleksandra Węgierki w Białymstoku. Obok niego krzyżują się wszystkie niemal trasy spacerów białostockich. Czy on sam jednak zajmuje jakieś miejsce w życiu, problemach i w sercach mieszkańców miasta? Mówi się, że Białystok jest „miastem nieteatralnym". Dlaczego? Niedobry teatr? Czy może brak tradycji?

Obecny budynek teatru wzniesiono w 1938 roku. Grał w nim wówczas trzy razy w tygodniu zespół Teatru Miejskiego z Grodna. Pierwszą stałą scenę w mieście założył w okresie władzy radzieckiej w 1940 roku Aleksander Węgierko. Nie zachowały się, niestety, żadne dokumenty z tamtego okresu. Nawet ze wspomnień ludzi trudno jest dziś odtworzyć pełny repertuar teatru. Wiadomo, że grano tu sztuki Zapolskiej, Fredry, że wystawiono po raz pierwszy na scenie polskiej „Poemat pedagogiczny" i „Optymistyczną tragedię". Wiadomo również, że teatr Aleksandra Węgierki stał na wysokim poziomie artystycznym, a każda jego premiera była wydarzeniem w życiu miasta. Działalność stałego teatru reaktywowano w sierpniu 1944 roku. Pierwszy dyrektor — Marian Meller. Pierwsza premiera — „Przepióreczka", w reżyserii Joanny Jabłońskiej.

A więc dwadzieścia lat nieprzerwanej pracy. Ponad dwieście premier, kilka tysięcy spektakli i kilka milionów widzów. A jednak teatr nie zrósł się z miastem, z jego mieszkańcami, nie przywiązał ich do swej sztuki na tyle, aby można było mówić o nawyku, o potrzebie teatru. Większość premier przechodzi bez większego echa. Mówi się o nich właściwie tylko w wąskim gronie ludzi związanych jakoś z teatrem, rzadko kiedy stają się przedmiotem szerszych dyskusji. Wszystko bowiem zależy od tego, co się gra. A więc od repertuaru!?

Repertuar! Magiczne słowo, które spędza sen z powiek dyrektorów teatrów, a od którego w dużej mierze zależą zwycięstwa lub porażki teatru. Żmudnie układane projekty, propozycje, dyskutowane często nie tylko w teatralnym gronie. Poszukiwania kierowników literackich, pogoń za nowościami, kłopoty dewizowe i dziesiątki zakulisowych rozgrywek. W sumie jednak są to najczęściej sugestie kierownika artystycznego, odbicie jego ambicji twórczych i zainteresowań. Bywa, że rozmijają się one z potrzebami widowni i możliwościami teatru. Toteż trzeba się nieraz dobrze nabiedzić, aby znaleźć rozsądny kompromis. Nie jest to wcale proste. Konflikt między zapotrzebowaniem widowni, a ambicjami i zainteresowaniami teatru występuje często bardzo ostro. Rezygnowanie z ambitnych zainteresowań — to możliwość utraty ciekawszych aktorów, to brak interesujących nowych inscenizacji, to zakradająca się do zespołu nuda. Nieliczenie się z gustami, potrzebami, a wreszcie z możliwościami widowni — to pustki w teatrze.

A zatem co grać? Jak powinien kształtować swój repertuar teatr, który dźwiga na sobie ciężar jedynego ośrodka teatralnego na rozległym terenie i w zróżnicowanym środowisku? Przed paroma laty jeden ze znanych krytyków teatralnych sugerował takim teatrom oparcie repertuaru o żelazne pozycje klasyczne, przede wszystkim polskie, ucząc w ten sposób od podstaw teatru, dramaturgii i dobrego smaku. Inaczej mówiąc: nie nowalijki współczesnej twórczości dramatycznej, nie Dürrenmatt, Beckett, Ionesco, ale stare, wybróbowane pozycje, sprawdzone doświadczeniem wielu scen.

Opierając się znowu na przykładzie teatru białostockiego, trzeba przyznać, że taki wzór repertuaru w dużej mierze przyjął się. Jeszcze parę lat temu, w sezonie 1961/62, na jedenaście planowanych premier aż siedem zaliczyć trzeba do tej grupy (Rittner — „Głupi Jakub", Musset — „Nie trzeba się zarzekać", Lermontow — „Maskarada", Ibsen — „Nora", Zabłocki — „Fircyk w zalotach", Lorca — „Krwawe gody").

Nowości reprezentowały ówczesne polskie debiuty: „Trudna młodość" — Ireny Szeligi i „Termi iera" — Zbigniewa Nienackiego. Próba wprowadzenia na scenę białostocką jednoaktówek Mrożka nie udała się.

Ubiegłoroczne premiery białostockiego teatru to „Antygona" — Sofoklesa, „Mąż i żona" — Fredry oraz „Dziady" — Mickiewicza. Scena kameralna otworzyła sezon doskonałą sztuką Harolda Pintera — „Dozorca". Można więc odnieść wrażenie, że i tym razem proporcje układają się podobnie. Nie będzie bardziej odbiegać od prawdy stwierdzenie, że repertuar zbliżony do tego typu jest charakterystyczny dla wielu teatrów będących w sytuacji podobnej do białostockiego.

Czy recepta ta zdaje praktyczny egzamin, przynosząc korzyść teatrowi i jego widowni? Nie wszędzie i nie zawsze. Stosowana mechanicznie przez wiele lat przynosi coraz wątlejsze zyski, aż wreszcie obraca się przeciwko teatrowi.

Niedawno uczestniczyłem w dyskusji o teatrze w Radomiu. Była to jedna z wielu w stałym cyklu tzw. „Spotkań teatralnych". Uczestniczyłem często w takich spotkaniach w Białymstoku i w Kielcach. Z doświadczenia wiedziałem, że ciężar dyskusji skupi się na sprawach repertuaru. Kiedy więc padło pierwsze pytanie: co zobaczymy na radomskiej scenie? — byłem pewny, że wszystko przebiega zgodnie z wieloletnią tradycją. A jednak pomyliłem się. W dyskusji zabrzmiał jakiś nowy ton. Był to już całkiem donośny głos widzów, domagających się nowego teatru, teatru przemawiającego współczesnym językiem do współczesnego widza. Jest coś pokrzepiającego, w wymowie tych żądań. Coś, co pozwala w jakiś bardzo namacalny sposób sprawdzić rezultaty wieloletniej pracy teatru, a jednocześnie przynosi odpowiedź na wiele repertuarowych wątpliwości. Już nie dawniejsze „co grać?" staje się naczelną sprawą teatru, ale „jak grać". Granica wyboru przebiega nie między Słowackim a Williamsem, czy Wyspiańskim i Beckettem lub Mrożkiem. Decyzja uzależniona jest od świadomości teatru, że wie, co i jak chce wybraną sztuką wyrazić.

Teatr białostocki, działający w bardzo zróżnicowanym, a więc niełatwym środowisku, posiadając dwie sceny, na jednak sytuację korzystną. Plany repertuarowe powinny się tu rodzić z maleją mocą, a pomysły należeć do rzadkości. Ogromny wysiłek teatru, który — borykając się z niezbędnymi żadnemo teatrowi problemami i kłopotami — przygotowuje trzynaście do piętnastu premier rocznie, rekompensować się powinien szerokim zasięgiem swej sztuki, możliwością dotarcia do widzów o różnorodnych zainteresowaniach, przywiązania ich do teatru, prowokowania do dyskusji.

Teatralne spotkania i w Białymstoku mogłyby stać się pożyteczną i ciekawą imprezą. Obopólnych korzyści takiego dialogu nie potrzeba chyba uzasadniać.

Przed paroma laty pisał Erwin Axer: **„Wszędzie, gdzie słychać tykanie Zelwerowego zegarka, mogą powstawać dobre teatry".** Ta lapidarnie wyrażona formuła dotyczy każdego teatru. Musi on jednak wiedzieć, co ma swym widzom do powiedzenia.

OD REDAKCJI: Traktujemy ten artykuł jako dyskusyjny. Chętnie opublikujemy wypowiedzi przedstawicieli białostockiego teatru.

CELINA KARCZ

Nasz dom

Andrzejowi

Szukać szczęścia
W kręgu nocnej lampki
to jak
Skrzydła musze rozpięte na szybie
Wróciwszy w nasze ściany
Szukasz śladu rąk o długich czerwonych paznokciach
Spojrzeniem prostym jak deski w podłodze
pokryte gęstym stukiem.
Szukasz śladu rąk
w ciszy gulgoczącego czajnika
bo to spojrzenie lubisz
pełznące wśród twych myśli
kryjące się w dziurach od gwoździ.

Bez nadziei

Rankiem
przed lustrem
patrzysz na twarz
czeszesz włosy.

Tam
za siatką z kolczastego drutu
budziły się miliony
Z deszczem
Z wiatrem
Ze słońcem.

Nie patrzyły w lustro.
Młode kobiety
Nie cieszyły się nowym dniem.

Nie miały nadziei.

Rzeszów

Autorka tych wierszy jest studentką II roku filologii polskiej na rzeszowskiej WSP, o której piszemy niżej. (Red.)

DOBRY POCZĄTEK

STANISŁAW FRYCIE

POWOŁANA do życia na początku bieżącego roku akademickiego Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Rzeszowie budzi ze zrozumiałych względów żywe zainteresowanie i rozliczne nadzieje środowiska. Miejscowe społeczeństwo słusznie liczy na to, że nowa placówka naukowa nie tylko będzie zaspokajała potrzeby kadrowe województwa, które wedle ustaleń władz oświatowych w najbliższym 10-leciu oblicza się na blisko 2 tys. nauczycieli różnych specjalności, lecz zaktywizuje również kulturowo i intelektualnie teren — zwłaszcza zaś środowiska szkolne. Istnieje bowiem realna szansa, że organizujące się katedry i zakłady naukowe poza normalnymi obowiązkami i czynnościami naukowo-dydaktycznymi otoczą opieką szkoły eksperymentujące;

Dzisiaj możliwości tej placówki są jeszcze skromne. Ale współpraca ze środowiskiem, zwłaszcza szkolnym, jest już faktem. Dowodzą tego m. in. przygotowane i wygłoszone przez pracowników naukowo-dydaktycznych odczyty dla potrzeb Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej, zarządu okręgowego ZNP i rzeszowskiego oddziału Towarzystwa im. Adama Mickiewicza. W tym względzie planuje się dalszą współpracę z ZNP i Okręgowym Ośrodkiem Metodycznym, która ma polegać na akcji odczytowej. Ustalono także tematykę odczytową z zakresu pedagogiki, psychologii, filozofii, socjologii, dydaktyki poszczególnych przedmiotów, historii literatury, językoznawstwa, matematyki, fizyki, chemii i nauk technicznych. Odczyty będą wygłaszane na rejonowych konferencjach metodycznych oraz na zebraniach i konferencjach ognisk ZNP.

Wspólnie z oddziałem Towarzystwa im. A. Mickiewicza — zrzeszającego przede wszystkim nauczycieli — zorganizowano już sesję naukową na temat: tradycje kulturalne Rzeszowa i Rzeszowszczyzny. Materiały z sesji, przygotowane do druku, ukażą się wkrótce w odrębnej publikacji.

Zaczęto także (katedra literatury i języka polskiego) gromadzić materiały do leksykonu nauki, kultury i oświaty Rzeszowszczyzny.

Ponadto planuje się zorganizowanie w niedalekiej przyszłości wspólnie z Okręgowym Ośrodkiem Metodycznym i przy współpracy Zarządu Głównego TSŚ sesji naukowej na temat: rola literatury w laickim wychowaniu młodzieży. Niezależnie od referatu kilka szkół przedstawi własny dorobek z zakresu laickiego wychowania młodzieży. Na późniejszy okres przewidziana jest monograficzna sesja naukowa o twórczości Wilhelma Macha i jego związkach z Ziemią Rzeszowską. Pragniemy ją zorganizować wspólnie z oddziałem Towarzystwa im. A. Mickiewicza.

Uczelnia zamierza również zachęcić środowisko szkolne do badań naukowych z zakresu historii oświaty w województwie, eksperymentu dydaktycznego i wychowania oraz dziejów i kultury regionu. Efekty tej działalności planujemy popularyzować w „Kwartalniku Naukowo-Oświatowym", o którego wydawanie staramy się, a oryginały będą stanowiły jeden z zeszytów Muzeum Oświaty i Dydaktyki organizowanego przez uczelnię wspólnie z Okręgowym Ośrodkiem Metodycznym. Zanim ukaże się kwartalnik, kontakty ze szkołami nawiązujemy za pośrednictwem „Rocznika Naukowo-Dydaktycznego". Publikowane tam prace mogą oddać znaczne usługi w modernizacji procesu dydaktycznego. Warto tu jeszcze podkreślić, że pracownicy naszej uczelni wchodzą w skład Rady Naukowej Ośrodka Metodycznego, której działalność ma służyć sprawie postępu pedagogicznego.

W planach naukowych WSP przewiduje się również ożywienie działalności Rzeszowskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki. Dążymy m. in. do tego, aby Towarzystwo zrzeszało pracowników naukowo-dydaktycznych obu rzeszowskich uczelni (WSP i WSI) i prowadziło swoją działalność za pośrednictwem trzech wydziałów: humanistycznego, matematyczno-fizycznego i nauk technicznych. Staramy się również o to, by każdy z wydziałów wydawał z dotacji terenowych i środków finansowych Towarzystwa własną serię wydawniczą.

Zamierzamy również zacieśnić naszą współpracę z rzeszowskim Klubem Literackim. W ramach istniejących kontaktów przewidujemy uczestnictwo członków Klubu w posiedzeniach naukowych katedry.

Bardzo obiecująco zapowiada się także nasza współpraca z Teatrem im. Wandy Siemaszkowej. Obecnie teatr zapowiada patronat nad pracą Studenckiego Teatrzyku Propozycji, Studenckiego Teatrzyku Poezji i Studenckiego Zespołu Teatrologicznego. Niezależnie od tego przewiduje się wzajemną akcję odczytową i kontakty aktorów ze środowiskiem studenckim.

Odrębnym zagadnieniem w naszych planach jest współpraca młodzieży studenckiej ze środowiskiem. Mamy nadzieję, że w najbliższej przyszłości ożywią ją nieokrzepłe jeszcze studenckie zespoły artystyczne, a także planowana przez młodzież akcja pod hasłem „Studenci swojemu miastu". Zarząd Uczelniany ZMS podejmie pracę organizatorską i polityczno-wychowawczą w szkolnych kołach ZMS oraz organizowanie korepetycji dla młodzieży szkół średnich.

Czy nowo kreowana WSP spełni pokładane w niej nadzieje, okaże najbliższa przyszłość.

Władysław Filipiak, pierwszy prezes ZAP (1936 r.)

Andrzej Kołodziejek

Zenon Kononowicz

30 LAT OKRĘGU LUBELSKIEGO ZWIĄZKU POLSKICH ARTYSTÓW PLASTYKÓW

6 sierpnia 1936 roku powstał w Lublinie Związek Artystów Plastyków, którego pierwszym prezesem wybrano Władysława Filipiaka[1]). Tradycję ZAP kontynuuje obecny okręg lubelski Związku Polskich Artystów Plastyków, skupiający ponad 90 twórców. Uroczystości trzydziestolecia organizacji zainicuje w lutym wielka wystawa malarstwa, grafiki i rzeźby w lokalu Biura Wystaw Artystycznych; prace artystów nieżyjących lub okresowo działających na naszym terenie pokazane będą w salach Muzeum Lubelskiego.

Dzisiaj plastycy lubelscy reprezentują wiele odmiennych postaw i metod twórczych, których najwybitniejsze realizacje są w ścisłym kontakcie ze współczesnością artystyczną. Osłabła znacznie pozycja i zmniejszyły się wpływy dominującego do niedawna koloryzmu, kontynuowanego przez starszą generację. Kilku szczególnie aktywnych artystów — **Władysław Filipiak, Zenon Kononowicz, Jan Ziemski, Krzysztof Kurzątkowski, Andrzej Kołodziejek, Zofia i Henryk Szulcowie** — stale i z powodzeniem uczestniczą w najpoważniejszych imprezach artystycznych w Krakowie, Warszawie, Elblągu, Szczecinie, Zielonej Górze czy Sopocie. Najbardziej czynni są malarze oraz — mniej liczni — graficy; syntetyczną rzeźbę reprezentuje w zasadzie jeden — Stanisław Strzyżyński.

Zdecydowana większość środowiska nie może narzekać na warunki bytowe, dobre dzięki pracy wykonywanej za pośrednictwem Pracowni Sztuk Plastycznych. Jednak twórcy nie są w stanie żyć z samego malarstwa czy grafiki artystycznej. W ostatnich latach kilkunastu plastyków otrzymało pracownie, zazwyczaj dość dobrze wyposażone. Biuro Wystaw Artystycznych i kilka salek w klubach i domach kultury zaspokajają podstawowe potrzeby ekspozycyjne.

Sytuacja wewnątrz środowiska daleka jest jest jednak od ideału wzajemnego zrozumienia, co nie przyspiesza ostatecznego rozwiązania czy choć uregulowania wielu problemów. Tak w ogólnym zarysie wygląda dzień dzisiejszy plastyki lubelskiej.

W trzydziestoletnim okresie istnienia związku plastyków kilka wydarzeń miało szczególne znaczenie dla dalszego rozwoju środowiska. **Wymienić tu trzeba pierwszą wystawę ZAP w salach Gimnazjum im. Unii Lubelskiej w październiku 1937 r., na którą zaproszono wszystkich plastyków Lubelszczyzny i trzech malarzy spoza województwa.** Pomimo że wielu z zaproszonych nie wzięło w niej udziału ze względów powiedzmy, ambicjonalnych, wystawa spełniła swój cel propagandowy, wykazała prężność nowej organizacji.

Następny, 1938 rok przyniósł reorganizację związku. Dotychczasowy Związek Artystów Plastyków zmienił nazwę na Związek Zawodowy Polskich Artystów Plastyków, przyjmując jednocześnie nowy statut oparty na statucie ZZPAP w Krakowie. W tych latach najbardziej żywą działalność — artystyczną i organizacyjną — rozwijali członkowie — założyciele związku. Dominującym kierunkiem w ówczesnym malarstwie lubelskim był postimpresjonizm, kontynuowano także realizm pokrewny malarstwu Gierymskich u nas, a Courbeta we Francji.

Dalszy rozwój zahamowała II wojna światowa; w hitlerowskich obozach koncentracyjnych zginęło wielu naszych artystów.

W kilkanaście zaledwie dni po ogłoszeniu Manifestu Lipcowego, 2 sierpnia 1944 r., reaktywowano w Lublinie związek plastyków, zarejestrowany początkowo jako zawodowy. W skromnych warunkach urządzono kilka wystaw, które były przede wszystkim manifestacją żywotności kultury polskiej. W następnych latach artyści lubelscy brali udział w wystawach ogólnopolskich w Krakowie, Warszawie, Radomiu; najczęściej wystawiali W. Filipiak i Z. Kononowicz. Poważne zasługi dla dobra organizacji związkowej położyli w tym okresie Juliusz Kurzątkowski, wieloletni prezes i aktywny plastyk, oraz Wiktor Ziółkowski.

Tempo, a przede wszystkim poziom twórczości obniżyły się po 1949 r. Stan taki utrzymywał się do 1956 r.

Począwszy od wystawy okręgowej w listopadzie i grudniu 1956 coraz bardziej zwiększa się liczba zwolenników sztuki nowoczesnej, mnożą się ekspozycje indywidualne, życie plastyczne Lublina nabiera nie spotykanej poprzednio dynamiki. Wyjazd J. Łukawskiego i W. Filipiaka do Holandii wiosną 1956 r. wywiera poważny wpływ nie tylko na ich twórczość.

Najbardziej jednak buntowniczym ugrupowaniem okazał się „Zamek", powstały w r. 1956, skupiający młodych plastyków działających początkowo poza ZPAP, co de cinema i Georges Fall (1959 r.).

Poważną rolę w szerzeniu zrozumienia nowych na naszym gruncie idei plastycznych odegrały także **„Struktury"**, (czterokolumnowy dodatek „Kameny"), które zaczęły się ukazywać w maju 1959 r., redagowane przez krytyka i zarazem rzecznika „Zamku" — Jerzego Ludwińskiego.

W tym czasie Muzeum Lubelskie powiększyło znacznie zbiory twórczości plastyków lubelskich; jedynie brak odpowiednich sal nie pozwala obecnie na otwarcie stałej galerii współczesnej sztuki lubelskiej.

Po pewnym kryzysie w latach 1960—1963, który wystąpił w życiu plastycznym całego kraju, ostatnio

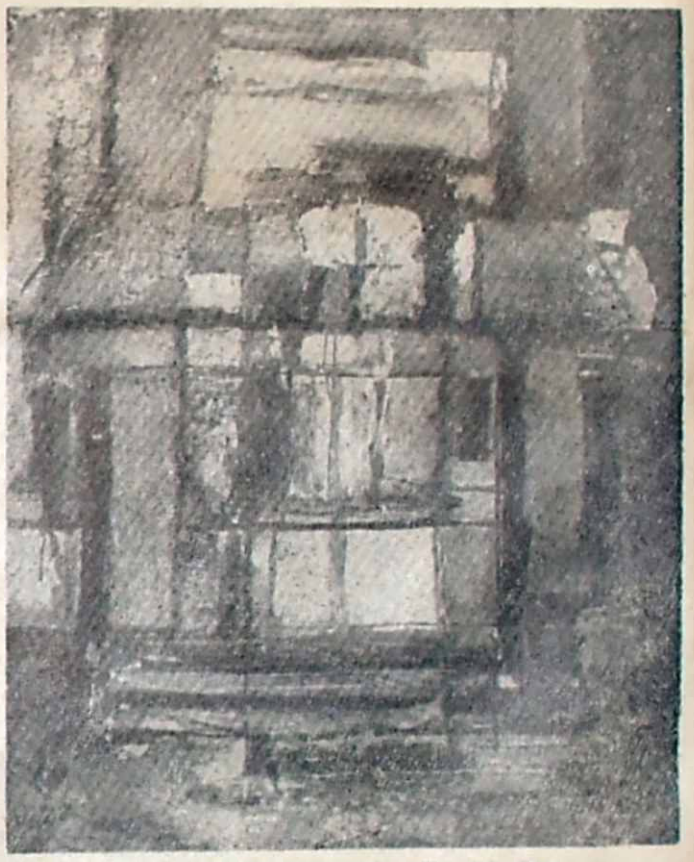

Andrzej Kołodziejek: „Kompozycja XVII", olej, 1965 r.

stało się powodem ignorowania grupy na początku jej działalności. Lata istnienia grupy „Zamek", to w Lublinie okres napiętej, ale i twórczej atmosfery, ciągłych kontaktów ze środowiskiem krajowym, a nawet zagranicznym, jeśli uwzględnimy wystawę Borowskiego, Dzieduszyckiego i Ziemskiego w paryskich galeriach Ranelagh można zaobserwować szereg ważnych decyzji organizacyjnych (wystawy 4 województw), i ciekawych zjawisk artystycznych także na naszym terenie. Szczególnie interesujące, choć całkowicie odmienne, są propozycje twórcze ciągle młodego **Władysława Filipiaka i Jana Ziemskiego.**

Ten szkic trzydziestolecia byłby niepełny, gdyby nie wspomnieć o osobie znanej powszechnie nie tylko w Lublinie. Chodzi oczywiście o **Wiktora Ziółkowskiego.** Współzałożyciel związku, organizator i pierwszy dyrektor powojennego Muzeum Lubelskiego, świetny krytyk z życzliwą uwagą śledzący poczynania młodych, obecny wszędzie tam, gdzie mowa o autentycznej sztuce — jest wzorem żarliwego zaangażowania, charakteru i bezinteresownej pracy dla dobra plastyki lubelskiej.

Władysław Filipiak: „Metaforma", olej, 1964 r.

Zenon Kononowicz: „Stary spichlerz w Kazimierzu", tusz, 1965 r.

[1]) Członkowie — założyciele Związku Artystów Plastyków w Lublinie 1936: Zygmunt Bartkiewicz, Witold Bogusławski, Franciszek Czekay, Franciszek Deś, Adam Dremont, Władysław Filipiak, Michał Hotyński, Rudolf Hornberger, Jan Karmański, Lucjan Prus-Kotlarski, Juliusz Kurzątkowski, Zofia Kwapiszewska, Julian Lisowski, Witold Olpiński, Janina Rytińska, Janusz Świetlik, Tadeusz Śliwiński, Paulina Turowska, Wiktor Turczyński, Krystyna Wiercieńska, Krystyn Henryk Wiercieński, Karol Westfal, Kazimierz Wiszniewski, Wiktor Ziółkowski.

Krzysztof Kurzątkowski

Edward Nadulski, obecny prezes oddziału ZPAP

Jan Ziemski

Mecenat poszukiwany

WŚWIADOMOŚCI społecznej zaciera się coraz bardziej postać artysty — demiurga borykającego się w samotności z własną wizją, obojętnego na opinię anonimowego widza. Jego miejsce zajmuje plastyk, fachowiec z dyplomem wyższej uczelni plastycznej, który potrafi zaprojektować funkcjonalne i przyjemne wnętrze mieszkalne lub usługowe, opracować estetyczną w kształcie lodówkę i zwykły widelec. Plastyk współczesny, obok inżyniera, staje się współtwórcą nowej przestrzeni, decyduje więc o warunkach, w których żyjemy. Dzięki temu kontakt pomiędzy plastykiem a społeczeństwem następuje na każdym nieomal kroku, nie ogranicza się wyłącznie do wystaw malarstwa czy grafiki.

Twórcy lubelscy i pod tym względem mogą pochwalić się pewnymi sukcesami, choć zapewne nie w takim jeszcze zakresie, jakiego sami by sobie życzyli. Od kilku już lat plastycy projektują wnętrza lokali użyteczności publicznej, dzięki czemu wiele naszych kawiarni, restauracji i sklepów posiada ciekawe malarstwo ścienne i wyposażenie dostosowane do przeznaczenia lokalu („Delikatesy" i apteka przy Krakowskim Przedmieściu, Klub MPiK i in.). Plastyka wchodzi także do dużych zakładów produkcyjnych, choć wypadki te są, niestety, odosobnione („Lubgal"), w czym nie ma, oczywiście, winy samych plastyków, a jest przede wszystkim nieufność dyrekcji oparta na tradycyjnym wyobrażeniu sobie wyglądu fabryki.

Również nasi graficy współpracujący z Wydawnictwem Lubelskim dali się poznać jako autorzy wielu interesujących pod względem plastycznym pozycji. Z roku na rok polepsza się też jakość estetyczna dekoracji z okazji wydarzeń i uroczystości państwowych oraz partyjnych. Rezultatem pracy naszych plastyków była np. ekspozycja wystaw dokumentalnych, takich jak: „PPR w walce z okupantem" „20-lecie wysiedlenia i pacyfikacji Zamojszczyzny", czynnych w Lublinie w r. 1962, oraz oprawa plastyczna Muzeum na Majdanku.

Związek Polskich Artystów Plastyków zainicjował jednocześnie szereg akcji mających na celu popularyzację sztuki. Wspólnie ze związkami zawodowymi urządzane są wystawy malarstwa i grafiki w fabrykach, spółdzielniach, wszelkiego rodzaju klubach i świetlicach przyzakładowych; niezwykle pożyteczna akcja dotarcia z plastyką do szerokich kręgów społeczeństwa mogłaby być jednak sprawniej realizowana.

Osiągnięcia w dziedzinie upowszechniania sztuki posiada także lubelskie Biuro Wystaw Artystycznych, współpracujące ściśle ze ZPAP, które w jednym tylko 1964 r. zorganizowało 72 wystawy w mieście i województwie; otwarty przy końcu 1965 r. Uniwersytet Sztuki przy BWA zgromadził około 250 słuchaczy z różnych środowisk społecznych i zawodowych.

Chcąc obiektywnie (choć w wielkim skrócie) zobrazować pozycję społeczną środowiska plastyków nie sposób przecież nie zasygnalizować przykrego zjawiska, jakim jest brak mecenatu. Jedynym faktycznym mecenasem jest Wydział Kultury PWRN, który odosobniony nie jest w stanie zaspokoić wszystkich potrzeb w tym zakresie. Co dedykujemy dyrektorom i kierownikom instytucji państwowych i społecznych Lubelszczyzny.

Trzydzieści lat zobowiązuje do poczucia humoru. Związek plastyków udowadniał niejednokrotnie, że cecha ta nie jest mu obca. Na przykład: ostatnio zrobił niezły dowcip historykom sztuki urządzając swój jubileusz niemal pół roku przed właściwym terminem. Oprócz potrzebnego zawsze humoru, dał jednocześnie przyszłym badaczom asumpt do niejednej zapewne rozprawy naukowej, przy której pisaniu nie obejdzie się bez pomocy teorii informacji. Nie snujmy jednak dalej tego horoskopu, bo chodzi nam przede wszystkim o przeszłość. Jesteśmy zdania, które nie pretenduje do nagrody nowoczesnych, że sprawom zasadniczym towarzyszą błahe, a dramatycznym — śmieszne. Dlatego właśnie przedstawiamy almanach faktów, ciekawostek i... plotek o plastyce lubelskiej i jej twórcach. Cytaty pochodzą z przed — i powojennej prasy, głównie lubelskiej oraz z katalogów wystaw.

■

W r. 1930 Wiktor Ziółkowski (pseudonim Jan Kot) wymienia malarzy rodem z Lublina i Lubelszczyzny oraz tych, którzy swego czasu mieszkali na tym terenie: Leokadię Bielską, Hannę Rudzką-Cybisową, Eugeniusza Eibischa, Henryka Loewenstadta, Stanisława Zalewskiego, Symchę Trachtera, Jana Wydrę i in. — a na koniec dodaje, że „prac ich u nas nikt nie zna!"

■

W latach dwudziestych na Wydziale Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie studiuje Zenon Kononowicz. W pracowni profesora F. Kowarskiego narada przed przyjściem komisji oceniającej prace roczne. Kowarski mówi do Kononowicza: „Proszę schować ten „Akt", najlepiej za piec, mnie on się podoba, ale kolegom..." Wchodzi komisja, profesorowie oglądają obrazy, Pankiewicz wyciąga zza pieca nieszczęsny „Akt": „Czyje to? Kononowicza?! Najlepsze płótno w pracowni, warte nagrody!" Później następny sukces: posada woźnego Akademii dzięki poparciu Kowarskiego i Szyszko-Bohusza, rektora ASP, a w końcu — tytuł asystenta Kowarskiego.

■

6 sierpnia 1936 r. powstaje Związek Artystów Plastyków w Lublinie. Fakt ten nie budzi jednak powszechnej radości i jeszcze w roku 1937 anonimowy autor pisze w „Expressie Lubelskim i Wołyńskim": ...obok pewnych ugrupowań artystów malarzy powstał Związek Artystów Plastyków, jednoczący w sobie tych wszystkich artystów pracujących w Lubelszczyźnie, którzy nie znaleźli dla siebie miejsca w jakimkolwiek zrzeszeniu".

■

„Pierwsza wystawa prac członków Związku i zaproszonych Gości" otwarta została w październiku 1937 r. w sali Gimnazjum im. Unii Lubelskiej (obecnie I Studium Nauczycielskiego). Było to wydarzenie wielkiej wagi i aktualności, bowiem zbliżał się termin pierwszej w Lublinie nagrody plastycznej im. Kietlicza - Rayskiego w kwocie 1000 zł!

■

Władysław Filipiak, pierwszy prezes ZAP, wspomina: „Nasze posiedzenia, bardziej towarzyskie niż oficjalne, odbywały się w kawiarni Semadeniego (obecnie „Regionalna") w każdy czwartek, który był dniem zarezerwowanym dla plastyków i sympatyków związku; w kawiarni tej urządzaliśmy także ekspozycje. Życie towarzysko - artystyczne było wówczas rzeczywiście bujne, a działalność twórczą można było swobodnie godzić z funkcją prezesa. Tak było..."

Zagadka: dlaczego, reaktywowany w r. 1944 w Lublinie Związek Zawodowy Polskich Artystów Plastyków, który w r. 1946 nazywał się już Związkiem Polskich Artystów Plastyków, egzystował do r. 1948 jako zawodowy, pomimo że nazwa nie zawierała już tego przymiotnika? Rozwiązanie: ponieważ profesor J. Wnukowa pomyłkowo zarejestrowała stowarzyszenie w Inspektoracie Pracy, a urzędnicy odkryli pomyłkę dopiero po trzech latach. Nieporozumienie to wspominane jest do dzisiaj z wdzięcznością, bowiem umożliwiło ono plastykom korzystanie z urzędowych przydziałów odzieży i żywności (cytryny — fakt!).

■

Jesienna Wystawa Okręgowa 1953 spotyka się z zarzutami „odpolitycznienia", czego ewidentnym przykładem ma być „formalistyczny postimpresjonizm i kubizm" (?). Recenzent „Życia Lubelskiego" ocenia pracę L. Pakulskiego: „Nie sprawdza on swoich wyników z rzeczywistością. Stąd błędy rysunkowe, perspektywiczne, brak logiki światłocienia, brak znajomości anatomii ludzkiej". Podobne „braki" wykazuje „Moment z meczu" E. Waleszyńskiego, świetnego malarza: „Zamiast zdrowego sportowca, ujrzeliśmy schematycznie traktowane postacie o rękach jak kikuty i twarzach bez wyrazu. Kubistyczne martwe natury tegoż budzą wątpliwości".

W r. 1956 „Kultura i Życie" dziwi się, że „plastycy zgadzają się i aprobują formalistyczny punkt widzenia niektórych recenzentów". Sam przecież prezes...

■

W dyskusji z okazji Wiosennej Wystawy Okręgowej 1957, recenzent - grafik stwierdza autorytatywnie: „W Lublinie trudno mówić o środowiskach plastycznych, skoro twórców prawdziwych jest aż... dwu; trzeci mieszka w Kazimierzu, czwarty czeka na emeryturę, a piąty się jeszcze nie urodził".

■

„O sytuacji w plastyce lubelskiej" rozmawiano 17 stycznia 1958 r. w redakcji „Kameny". Działacz administracji kulturalnej proponował młodym plastykom, aby dla siebie malowali twórczo, a dla publiczności zrozumiale. Literat ubolewał, że: „Zupełnie zaginął portret psychologiczny". Młody plastyk był konkretny: „Zbyt często zdarza się, że niektórzy z nas obiady jedzą raz na tydzień".

■

Po wystawie okręgowej 1958 r. Jerzy Ludwiński nawołuje: „Chciałbym się zwrócić z takim apelem: — Obywatele, nie kupujcie kiczów na targu, kupcie sobie lepiej martwą naturę na wystawie ZPAP".

■

„Zamek" to „najciekawsze dziś bodaj zjawisko wśród aktualnych poczynań najmłodszej generacji naszych plastyków" — opiniuje Janusz Bogucki w „Życiu Literackim". W ponad 20 pismach krajowych i zagranicznych spotkać można wzmianki o Dzieduszyckim, Borowskim i Ziemskim; w prasie lubelskiej panuje cisza zakłócana sporadycznym artykułem.

■

„Ankieta Lubelska" 1958 preferuje „Zamek" i „Struktury", wymienia Filipiaka i Kononowicza. Matematyk — uczestnik ankiety jest zdania, że najbardziej wybitnym i interesującym artystą lubelskim jest autor... fresków w zamkowej kaplicy Świętokrzyskiej.

■

Co robią młodzi i nieco starsi na Wystawie XX-lecia PRL? „...są czasem dowcipni i „robią na złość", pokazując lustra z przylepionymi fragmentami fotografii, piór ptasich, z kawałkami reprodukcji renesansowego obrazu. Nie ma powodu do zdenerwowania, nie należy rzucać obelg pod adresem autora (W. Borowskiego), ponieważ te lustra są jedynie dowcipem plastycznym, a poza tym pozwalają poprawić makijaż czy fryzurę — „łączą przyjemne z pożytecznym".

■

„Na koniec należy wspomnieć o trwającej kilkanaście tygodni wielkiej wystawie na wolnym powietrzu (w podwórku przy Sądzie Wojewódzkim), którą zorganizował Zygmunt Bartkiewicz. Kilka wypadków kradzieży obrazów (dokonanych zapewne przez ubogich miłośników sztuki), może świadczyć o popularności tego malarstwa". (1964 r.).

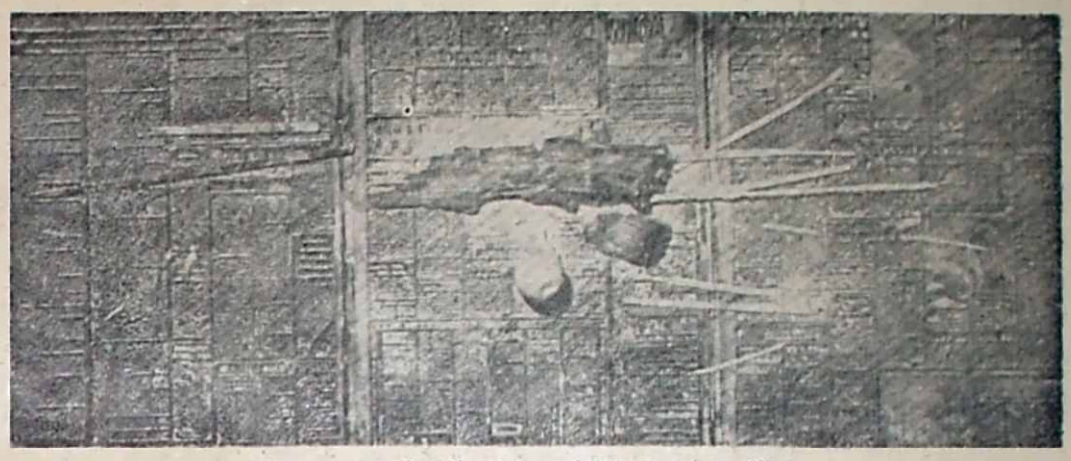

Krzysztof Kurzątkowski: „Kompozycja", techn. miesz., 1965 r.

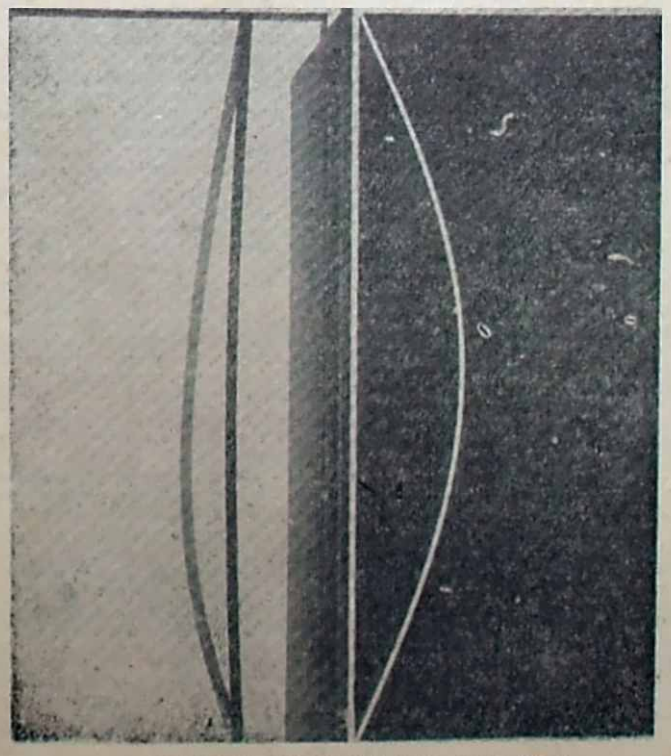

Jan Ziemski: „Kompozycja", techn. miesz., 1965 r.

Kolumnę opracował
Ireneusz J. Kamiński

Zdjęcia: A. Polakowski (10)
J. Urban (1)

Śladami „Placówki”

(Dokończenie ze str. 1)

budzi właśnie ów Wojciech Pieniążek i jego żona, Jadwiga, gdyż oni byli dziedzicami tej ziemi, kiedy Prus wędrował po tych okolicach, zbierając materiały do „Placówki”.

Z ludzi, którzy pamiętają te dawne czasy, żyje jeszcze we wsi stary Jan Pomorski. Liczy on sobie lat ponad dziewięćdziesiąt, ale umysł ma jasny i świetnie sobie przypomina dziedzica Tomaszowic i jego dwóch synów. Z tego, co mówi wynika, że ów Wojciech Pieniążek nie mógł być prototypem dziedzica z „Placówki”.

— *Bale? No tak! Balowało się we dworze tak, że się ściany trzęsły. Nierazem to podziwiał, siedząc na płocie* — opowiadał Jan Pomorski. — *Ale nasz dziedzic był rządnym gospodarzem i dobrym panem. Nie lubił ani niemieckich kolonistów, ani karczmarza Jankla Rozensztajna i nijakich z nimi interesów nie robił — to wiem, bom nieraz słyszał, co ojce mówili. Chłopi dziedzica szanowali, a on synów wykształcił na dobrych rolników.*

Z dalszej opowieści wynika, że Niemcom ziemię odprzedał nie pan Pieniążek ale dziedzic pobliskich Płouszowic, pan Jedinoł.

— *To stąd niedaleko. I tam były za moich młodych lat niemieckie kolonie* — kończy swą opowieść Jan Pomorski.

Idziemy więc z dyrektorem tutejszej szkoły p. Florianem Kowalem i jego córką do Płouszowic, najpierw szosą, potem łąkami i wsią, badając z „Placówką” w ręce krajobraz jak i wiejskie domostwa.

Krajobraz „doliny Białki” (tak Prus w „Placówce” nazywa te okolice) nie ostał się niszczycielskiemu działaniu czasu. Rzeka, nazwana w powieści Białką (zapewne na intencję rzeki Białki, nad którą młody Aleksander Głowacki został ranny podczas powstania styczniowego), nazywa się w istocie Ciemięgą i jest w tej chwili wąską, zarośniętą rzeczułką. A przecież Prus pisał o niej w „Placówce, że „*jej szafirowe fale z rana i wieczór połyskują czerwienią, złotem w dzień, a srebrem podczas jasnych nocy*”. Jednakże sama dolina jest nadal jak w powieści, „*olbrzymim półmiskiem, mającym wydłużoną formę i mocno zadarte brzegi*”.

Kolonii niemieckich już tu dawno nie ma. Jedyną ich pozostałością jest dom, o którym najstarsi mieszkańcy tych okolic opowiadają, że tu właśnie zbierali się koloniści na wspólne czytanie i śpiewy.

— *Za mojego dzieciństwa to tam musi była szwabska szkoła dla ichnich dzieciaków* — powiedział mi o tym domu sędziwy Jan Pomorski.

W tej chwili po obu stronach ślonki tego już niemal całkiem zrujnowanego domostwa widać jeszcze dwie przestronne izby. W samej ślonce spod starannie obtłuczonego tynku wygląda świetnie zakonserwowany „fresk” — olejno namalowana wprost na ścianie postać Michała archanioła z trąbą w ręce.

W „Placówce” dzieci kolonistów zbierają się na wspólną naukę i śpiewanie w domu Hamera oddzielonego od zagrody Ślimaka rozległą doliną, przeciętą wstęgą Białki.

Rozglądam się wokoło...

Dom stoi w dolinie, którą na pewno płynęła ongiś rzeka. Są tu też ślady stawów, do których ta rzeka wpadała i resztki grobli na niej kiedyś wybudowanej. I chyba właśnie tu, w spienionych nurtach wezbranej po burzy rzeki, musiał utonąć mały Stasiek, zasłuchany w śpiew niemieckich kolonistów.

Warto tu, już na marginesie mych wędrówek, ale w związku z „Placówką” zwrócić uwagę na fakt, że Prus opisując co czuł podczas burzy „*Stasiek chłopskie dziecko, niewiadomo skąd — nerwowe*”, odtwarzał z kliniczną wprost ścisłością własne stany fizyczne i duchowe. O tym, jak bardzo sam przeżywał każdą burzę, wspomina w swym pamiętniku Henryka z Rodkiewiczów Witkiewiczowa, córka Oktawii Żeromskiej. Była małą dziewczynką, kiedy Prus w Nałęczowie „nauczył” ją bać się burzy. „*Mieszkaliśmy w Pałacu* — opowiada w swych wspomnieniach — (...) *Prus zastał mnie samą, bo byłam trochę chora i leżałam jeszcze w łóżeczku. Zbierało się na burzę i Prus był zdenerwowany (...). Gdy zaczęło błyskać, kazał mi ubrać się i schowani za szafami w korytarzu za kotarą, gdzie sypiał numerowy Karol Lewandowski, siedzieliśmy podczas szalejącej burzy. Pamiętam moje zdziwienie, że co zabłysło, Dziadzio pakował głowę w poduszkę Karola i jęczał*” *).

Opisując przeżycia Staśka, Prus odtwarzał niewątpliwie swoje „burzowe” doznania. Stasiek — pisze Prus — „*wraz z ptakami przeczuł nadciągającą ulewę i od rana tułał się po domu niespokojnie (...). Powietrze przesycone elektrycznością kłuło go po całym ciele, błyskawice paliły mu wzrok, a każde uderzenie piorunu zdawało się, że trafia go w głowę i serce*”.

I jeszcze:

„*W miarę słabnięcia burzy (...) uspokajał się. Nie łupało go w głowie, nie kłuło w rękach, ani po skórze nie chodziło coś jakby mrówki*”.

Zaraz po burzy mały Stasiek, urzeczony śpiewem kolonistów, utonął w wezbranych falach Białki, która płynęła tą dolną jaką właśnie mamy przed sobą. Dolina owa oddzielała i dzisiaj oddziela dom niemieckich kolonistów od zagrody wznoszącej się na wzgórzu u przeciwległego krańca doliny.

Wzgórze to gęsto w tej chwili porośnięte drzewami, jest najwyższe w okolicy. Więc może tu właśnie mieszkał Ślimak?

W „Placówce” czytamy:

„*Jest to posiadłość jak pustelnia; do wsi z niej daleko, a jeszcze dalej do dworu.*

Obejmuje dziesięć morgów gruntu, od wschodu przytyka do rzeki Białki, od zachodu do gościńca, który z tego miejsca przecina dolinę i biegnie do wsi.

Przy drodze mieszczą się budynki Ślimaka. Jest tam chata, zwrócona jednymi drzwiami do gościńca, drugimi do podwórka, jest stajnia z oborą i chlewikiem nakryte jednym dachem, jest stodoła i wreszcie szopa na wozy. Wszystko ustawione wzdłuż boków kwadratowego dziedzińca.

Chłopi dolińscy żartowali ze Ślimaka, że mieszka na wygnaniu jak Sybirak. Prawda, że do kościoła — mówili — bliżej mu niż nam; ale za to nie ma do kogo gęby otworzyć”.

Zbliżywszy się do zagrody od strony doliny, przez zarośnięty ogród i podwórze, stwierdzamy, że i teraz dom jest zwrócony „*jednymi drzwiami do gościńca, drugimi do podwórka*”, a należy do najstarszego mieszkańca wsi, dziewięćdziesięcioletniego Stanisława Turskiego.

Gospodarza zastajemy przy głośniku radiowym. Czytać nie umie, pracować już nie może i słuchanie muzyki jest jego jedynym zajęciem i największą przyjemnością. Córka Turskiego niechętnie wpuszcza nas do izby. Niechętnie przystaje na naszą rozmowę z ojcem, niechętnie pozwala na sfotografowanie starego.

— *A może z tego co wyniknie? Może o ziemię pytać zaczną? O gospodarkę?* — mówi z odwieczną chłopską nieufnością.

Jednakże obecność dyrektora szkoły z sąsiednich Tomaszowic i jego córki rozprasza wreszcie te opory.

O Prusie i jego „Placówce” nasi gospodarze nic nie wiedzą, nie słyszeli.

— *Może tu taki przyjeżdżał i gadał z ludźmi... Ja nie pamiętam* — stwierdza stary.

Pamięta za to dobrze, że kolonie niemieckie były tutaj, ciągnęły się aż do Uniszowic i że na tych koloniach stał wiatrak, który, jego zdaniem, zawalić się musiał całkiem niedawno.

— *I stawy były i grobla na rzece* — wspomina Turski.

To, co mówi o tutejszych stosunkach, jest jakby żywcem wyjęte z „Placówki”.

Stary Turski jest synem pańszczyźnianego chłopa i pamięta dobrze dziedzica Jedinoła, u którego pracował jego ojciec.

— *Ojciec nieraz mówił, że jak pańszczyzna się skończyła, to darmo pracować chłopy nie chciały. No to pan zbankrutował. Najpierw to dziedzic chciał sprzedać ziemię chłopom, ale oni nie kupowały. Gadki takie były, że nam sam car doda, bo nam mało dali ziemi. Po siedem morgów serwitutów to my dostali, ale liczyłim na więcej.*

Jak wiadomo, w oparciu o „akt łaski” carskiej rozpuszczano wówczas po wsiach pogłoski, że chłopi otrzymają nowe nadania. W „Placówce” przecież Grochowski też tak powiada do Ślimaka:

„— *Będą tyle dodawać, ile kto już ma. Ja na ten przykład mam dwadzieścia i pięć morgów, to dostanę dwadzieścia pięć. Wy ile macie?*

— *Dziesięć.*

— *To dostaniecie dziesięć. A Magda, jak będzie teraz miała dwa morgi i pół morga, to znowu dostanie dwa i pół*”.

Podobnie wierzył ojciec Stanisława Turskiego.

— *Ojciec i inni tutejsi chłopi mówili, że do każdego „numeru” dojdzie serwitut leśny. I właśnie o to z dziedzicem nieugoda była, o ten las* — wspomina stary. — *Chociażem wtedy był chłopakiem niedorosłym, ale dobrze wiem, że pan chciał las ludziom ze wsi sprzedać, a nasi nie chcieli u pana kupować. No to on las sprzedał Niemcom. A z Niemcami my się ugodzili. Oni nazywali się Kondraty, te Niemce. I ojciec ze mną do nich na zarobki chodził. I inni z naszej wsi także. Potem Niemce chcieli i od nas ziemię odkupić. Najpierw przyszło takich dwóch, Krügery im było. Ale mój ojciec nie chciał im sprzedać, chociaż go oni i tak namawiali i owak.*

Krügery czy Hamery — cóż to za różnica? Jedno jest faktem — słowa starego chłopa brzmią tak, jakby zostały żywcem wyjęte z „powieści o wiejskiej zagrodzie”, z „Placówki” Bolesława Prusa.

Wracając o zmroku szosą ku Tomaszowicom rozważamy jeszcze sprawę owej kolei, przy której budowie tak bardzo pragnął zarobić trochę grosza Józef Ślimak. I tu także realizm autora nie zawodzi. W latach 1880—85 budowano niedaleko Płouszowic kolej z Lublina do Warszawy.

— *Niemieccy koloniści zajmowali zazwyczaj punkty strategicznie najlepsze, więc i tu osiedlali się dlatego, że szosa i kolej były niedaleko* — stwierdza całkiem słusznie dyrektor Kowal.

* * *

Następnego dnia jadę do Przybysławic, o których wspomina w swych „Dziennikach” Żeromski. Jeżeli Prus tam bywał to na pewno jakieś ślady tej bytności są w „Placówce”. Ale jakie?

W starym parterowym dworku przybysławickim, niedawno odnowionym i nadbudowanym, mieści się teraz Państwowy Dom Dziecka. Kierownik tego domu, pan Stanisław Ostapiński, oprowadza nas po domostwie i okolicy. Krajobraz i tu przypomina opisy z „Placówki”. Wzdłuż rzeczki Kurówki ciągnie się wieś. Przy drodze dawniej stała karczma. Na niedalekim wzgórzu wznosił się młyn. O tym młynie jedna z mieszkanek Przybysławic, pani Wochowa, tak opowiada:

— *Moja córka uczy się w liceum, w Nałęczowie. Kiedyś przyjeżdża do domu i mówi: „Nasza pani od polskiego powiedziała dzisiaj, że Bolesław Prus pisał „Placówkę” u nas, w Przybysławicach”. A mój mąż na to: „Tak jest, córeczko. Mój ojciec, a twój dziad opowiadał, że tu u nas stał młyn i Prus tam przychodził i odpoczywał. I z ludźmi dużo rozmawał o różnych gospodarskich sprawach”.*

— *I wie pani?* — z ożywieniem dodaje moja rozmówczyni. — *U nas ludzie nie mówią że idą miedzą. U nas ludzie mówią, że idą „placówkami”. Może Prus właśnie stąd wziął tytuł do swojej powieści?*

To piękne, że tutejsi mieszkańcy tak skwapliwie stwarzają legendy o pobycie autora „Lalki” w Przybysławicach. Nie bardzo jednak w to wierząc, rozpytuję o owe „placówki” co starszych mieszkańców tych okolic i na podstawie ich informacji dochodzę do wniosku, że wyraz ten nie ma nic wspólnego z „Placówką” Prusa. Powstał on na tych terenach dopiero po komasacji tutejszych gruntów, około 1931 roku. Placówkami nazywano tu ścieżki wiodące od starych pól do nowych.

— *A niektórzy po komasacji mówili: „Ja zostałem na placówce”. To znaczy — na swoich starych gruntach* — tłumaczą sędziwi Dodasowie, do których zaprowadził mnie pan Ostapiński. Oboje Dodasowie dobrze pamiętają nie tylko komasację gruntów, ale i dawnego dziedzica tej wsi, hrabiego Jezierskiego.

— *Do hrabiego należały Przybysławice, Garbów, Markuszów i jeszcze inne folwarki* — wylicza Dodas.

— *Ale on wszystko w karty przegrał i majątek mu zlicytowali.*

— *Mała jeszcze byłam, ale z całą wsią na tę licytację do Garbowa biegłam* — wtrąca Dodasowa.

— *W Przybysławicach dziedzic tylko poniektórych gości lokował, kiedy się wielu nazjeżdżało, a sam mieszkał w Garbowie* — ciągnie swoje wspominki Dodas. — *Z fantazją był pan! Wyścigi konne z koleją żelazną urządzał, kuligi i zabawy.*

Ba! Nietrudno, jak widać, napotkać w tych stronach zarówno krajobraz zbliżony do krajobrazu z „Placówki”, jak i przedstawicieli szlachty, przypominających dziedzica z powieści Prusa, dziedzica, który swoje gniazdo rodzinne lekkomyślnie sprzedaje w obce ręce między jedną a drugą figurą mazura.

Do Garbowa z Przybysławic jest bardzo blisko. W tamtejszym rozległym pałacu o dwóch skrzydłach i ganku wspartym na czterech słupach mieści się teraz spółdzielnia lekarska. Wnętrze jest przebudowane. Z dawnych lat został tylko zachowany piec barokowy i piękne sufity. Ale krajobraz jest tu inny. Dokoła ciągną się (i ponoć ciągnęły się zawsze) rozległe stawy, głębokie i rybne. Nie było tu nigdy niemieckich kolonii. A jednak Garbów zostawił swój ślad w „Placówce”. To on zapewne jest tą „wsią kościelną”, o której tam wspomina się wielokrotnie. Do parafii Garbów należały przecież Tomaszowice aż do pierwszej wojny światowej.

Niestety, stary drewniany kościół tutejszy spalił się w 1915 roku. Nie zachowały się też żadne jego kroniki. Wiadomo jednak, że z Garbowa pochodził rycerz Zawisza Czarny, że tu ciągnęły się jego włości. I choć sam Zawisza poległ nad Dunajem w wojnie Węgier z Turkami w 1428 roku, to przecież o jego właśnie posągu mógł myśleć Owczarz, kiedy w lesie przypominał sobie „*czarny nagrobek rycerza, co zakuty w blachy, z mieczem w garści i żelazną rękawicą pod głową, leżał w kościele obok ołtarza świętej męczenniczki Apolonii*”.

Do tej „wsi kościelnej” udaje się też w „Placówce” stary Jojna Niedoperz, aby szukać u proboszcza pomocy dla Ślimaka. To nic, że ten Jojna z innej wywodzi się „parafii”, że Prus strawestował tu wzmiankę, którą przeczytał w 1881 roku w „Gazecie Kieleckiej” *). Wzmianka ta brzmiała: „*We wsi Sworoń umarł z głodu we własnej chacie włościanin Drożdżel, jego żona i dziecko. W tej samej wsi mieszka trzech zamożnych braci zmarłej, którzy jednak nie dali jej pomocy, ona zaś sama tak dalece nie rachowała na niczyją pomoc, że włożywszy dwoje starszych dzieci do pieca, zasunęła drzwi kłodą, a sama z najmłodszym dzieckiem legła na tapczanie (...) Dopiero przejeżdżający Żyd, Icek Cyngler, kupiec z Połańca, oznajmił proboszczowi z Niekrasowa, że dnia poprzedniego, będąc za handlem we wsi Sworoń w gminie Tursko, w powiecie sandomierskim, zastał w jednym domu włościańskim kobietę bliską śmierci i troje dzieci umierających również z głodu. Chodził po chatach, prosząc o litość dla nieszczęsnych, lecz nigdzie u sąsiadów nie znalazł współczucia. Nazajutrz przeto powracając do Połańca zboczył do najbliższego księdza, proboszcza niekrasowskiego, opisując stan biednej rodziny*”.

Wzmianka ta skojarzyła się w wyobraźni pisarza z tragedią opuszczonego przez wieś Ślimaka. Strawestował tę reporterską notatkę i przetworzył zgodnie z potrzebami swojej powieści, jak trawestował i komasował w postaci dziedzica z „Placówki” lekkomyślność właściciela Przybysławic z kłopotami gospodarskimi dziedzica Płouszowic, pana Jedinoła.

Kiedy po raz wtóry przyjeżdżam do Tomaszowic i znowu rozglądam się po okolicy, coraz bardziej upewniam się, że jednak ten właśnie tomaszowicki pałac stał się pierwowzorem samego dworu w „Placówce”.

Ze „słupów” dawnego ganku zachowały się tylko dwie kolumny, ale resztki pozostałych zdobią jeszcze wejście do szkoły. Sala balowa, w której goście tańczyli mazura i o której Ślimak powiada, że była z „*białymi słupami*”, „*tyla jak kościół*”, jest przebudowana (w jednej jej części mieści się przez kilka lat wiejski sklep spożywczy), ale „słupy” pozostały. „Szyblasta oranżeria” istnieje także już tylko we wspomnieniach najstarszych mieszkańców wsi. Jednakże topografia Tomaszowic zdaje się odpowiadać topografii dworu w „Placówce”.

Zarówno kolonie niemieckie, jak i zagroda Ślimaka (tak jak w tej chwili zagroda Turskich) leżały właśnie między „*wsią kościelną*”, to jest Garbowem, a dworem dziedzica, to jest Tomaszowicami.

Mimo więc licznych trawestacji, które poczynił autor, mimo niszczącego działania czasu, któremu ostać się nie zdoła nawet krajobraz, można jeszcze dzisiaj odnaleźć na tych terenach (objętych dawniej jedną parafią w Garbowie) wyraźne ślady „Placówki”. Coraz ich mniej i coraz trudniej je odnaleźć. W zeszłym roku umarł sędziwy Stanisław Turski: „dom Hamera” rozpada się i zamienia w gruzy; rzeka płynąca ongiś „doliną Białki” wysycha. Toteż wydaje mi się, i zgodzą się ze mną pewnie wszyscy wielbiciele Prusa, że warto choćby w tym szkicu owe realia „Placówki” ocalić od zapomnienia.

Gabriela Pauszer-Klonowska

Z książki, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

W maju nastąpi w Nałęczowie uroczyste odsłonięcie pomnika Bolesława Prusa, dłuta Aliny Ślesińskiej

LIDIA KOŚMIŃSKA

Cień i światło

Ze wzgórza stoczyło się słońce
w ciemną przepaść —
jak rozżarzona kula
moich uczuć,
które ciemnieją i nikną,
gdy spojrzą na nie źli ludzie.

Księżyc wysunął się spoza
lasu —
jak kolisko srebrne
moich marzeń,
które najjaśniej świecą,
gdy śpią ludzie nieżyczliwi.

Lublin

*) Przegląd Lubel. I. Materiały o Stefanie Żeromskim (s. 206—217) zebrał i podał do druku Stefan Butrym.

*) Cyt. wg „Kronik Tygodniowych” t. V, s. 423.

Jak zostałem KOMISARZEM CZERWONEJ PARTYZANTKI

ZBIGNIEW ORLIŃSKI-SŁAWIAN

MAJ i czerwiec 1944 r. były szczególnie gorące dla partyzantów Ziemi Zamojskiej. Słońce wprawdzie przygrzewało już mocno, ale gorąco robiło się przede wszystkim od bitew i potyczek, którymi niemal bez przerwy rozbrzmiewały lasy janowskie i Puszcza Solska. Historycy nazwali później ten okres wojną partyzancką.

Siły wszystkich oddziałów partyzanckich polskich i radzieckich można ocenić na jakieś pięć tysięcy ludzi, bardzo rozmaicie uzbrojonych i ubranych, stale cierpiących na brak wystarczającej ilości amunicji. Oddziały partyzanckie zostały otoczone żelaznym pierścieniem przez jednostki 154 dywizji grenadierów płk Goldmanna, dywizji Altrichtera, dywizji Eberhardta, dywizji SS-Wiking, specjalne pułki policyjne Dausa Dergera i Hildebrandta, oddziały kolaboracjonistów ROA i legionów wschodnio-muzułmańskich oraz kilkanaście szwadronów kawalerii brigadenfuehrera Dolla z tzw. Kamykenverband.

Było to w drugiej dekadzie czerwca. Część oddziałów partyzanckich szczęśliwie wymknęła się z kotła w Puszczy Solskiej i stanęła w lasach w rejonie Żurawnicy. Były to oddziały Armii Krajowej, dowodzone przez pplk „Adama" (Stefana Prusa). Razem z nami znalazł się radziecki oddział partyzancki im. Żukowa, na którego czele stał kpt. Kinasz. Kapitan był bardzo sympatycznym człowiekiem. Za swoją szczerość, beztroski humor i bezpośrednie podejście, a zarazem zawziętość wobec wroga, był bardzo lubiany przez ludność cywilną. Życzliwość ta wzrastała jeszcze dzięki temu, że na czapce obok czerwonej gwiazdy nosił mały orzełek, który przy jakiejś okazji przypiął mu jeden z naszych chłopców.

Przed przedarciem się przez linie hitlerowskie kpt. Kinasz był zmuszony zamelinować gdzieś nadawczo-odbiorczą aparaturę radiową, co było bardzo wielkim utrudnieniem w dalszym poruszaniu się. Dziś nie pamiętam już dlaczego, dość, że postanowił iść ze swymi ludźmi niezwłocznie w kierunku południowo-wschodnim, a więc w rejony objęte właśnie pacyfikacją. Nie tylko jednak nie znał tych terenów, ale nie posiadał nawet odpowiednich map. Zwrócił się więc do naszego dowództwa, prosząc o przydzielenie mu oficera polskiego, znającego teren. Nie ukrywał, że przed oddziałem stoi bardzo ciężkie zadanie, że wyznaczony oficer musi być przygotowany dosłownie na wszystko.

Nasze dowództwo nie miało nic przeciwko temu. Ale postawiło warunek: oficer musi zgłosić się ochotniczo.

Wszyscy byliśmy wtedy niemiłosiernie zmordowani, głodni, niewyspani, brudni. Co tu ukrywać: u wielu żołnierzy duch bojowy osłabł. W tych ciężkich chwilach — a być może nadejdą jeszcze cięższe — trudno było rozstawać się z własnym oddziałem, z ludźmi, których znało się na wylot. Po prostu ochotnik nie zgłosił się. Oficjalnie mówiło się, że zadanie nie należy do łatwych, a prywatnie, że właściwie jest niewykonalne. I każdy dziwił się, że kapitan chce zaryzykować eskapadę, która grozi likwidacją całego oddziału.

Staliśmy w lesie na wzgórzach, które trzema stokami — na północ, zachód i południe — opadały w dolinę Wieprza. Rzeka zataczała tu wielki łuk od Krasnobrodu przez Zwierzyniec do Szczebrzeszyna. Ciągnące się nieraz po parę kilometrów pagórki były pozbawione drzew i z daleka było widać wszystko, co się na nich działo. Poza tym niebezpiecznym terenem trzeba było sforsować szosę z Zamościa do Biłgoraja. A po tej szosie samochody nieprzyjaciela jeździły teraz ze wzmożoną częstotliwością, oczywiście silnie chronione przez uzbrojonych po zęby hitlerowców.

Nie na tym koniec. Dalej trzeba było sobie poradzić z pilnie strzeżoną linią kolejową Rawa Ruska — Szczebrzeszyn — Zamość. Potem szeroki do 2 km pas bagnistych łąk, przeciętych Wieprzem i bitą drogą Zwierzyniec — Topólcza — Kawęczyn — Szczebrzeszyn. Wreszcie po pokonaniu tych wszystkich przeszkód trzeba się wspinać na wzgórza Roztocza, biegnące między Wieprzem a Gorajcem. Ten ostatni pas był obsadzony przez specjalne oddziały Waffen SS. Posiadały one około 200 psów policyjnych. W nocnej ciszy szczekanie tej sfory dochodziło aż do nas.

Chyba nie brak odwagi spowodował że nie zgłosił się żaden ochotnik. Taka wyprawa równała się już nie szaleństwu, ale samobójstwu. Na wojnie umiera się — zwykła rzecz. Ale samobójstwa nie popełnia się, zwłaszcza na zimno.

Nie widząc ochotnika Kinasz nagle posmutniał i jakby się skurczył, a zarazem naprężył. Podszedł do mnie i zaczął się użalać. Jako dowódca oddziału specjalnego AK o podobnym jak jego oddział zakresie działania, spotykałem się dość często z kapitanem. Uważam nawet, że żyliśmy na przyjacielskiej stopie. Ale teraz sam usiłowałem go przekonać, że jego zamiar to samobójstwo, że nie można żołnierzom wydawać takiego rozkazu, a szukanie ochotnika jest całkowicie pozbawione sensu. Po jakimś czasie pozornie zaczął się ze mną zgadzać, ale nagle powiedział zdecydowanym tonem:

— To rzeczywiście wydaje się nieprawdopodobne. Ale gdyby poszedł ze mną ktoś, kto dobrze zna teren i ma kontakty z miejscową ludnością, to widzę szanse powodzenia. A nasz oddział ma pilne zadanie do wykonania i jeżeli tylko jest jakaś szansa, musimy iść i je wykonać.

Zorientowałem się natychmiast, o co mu chodzi. Kapitan wiedział, że w ciemne noce od dwóch lat przemierzałem wzdłuż i wszerz te okolice i nie zdarzyło się, abym nie trafił w wybrane miejsce. I dlatego powiedzenie kapitana zabrzmiało niemal jak rozkaz. Mimo to jeszcze dyskutowałem, jeszcze usiłowałem go przekonać, chociaż czułem, że właściwie przekonuję już nie jego.

— Zgoda! — rzuciłem wreszcie ze złością na siebie samego. — No bo chyba jest jakaś szansa, której na początku nie widziałem?

Poszliśmy razem do naszego sztabu. Zameldowałem o swojej decyzji i poprosiłem o czasowe zwolnienie z mojego oddziału.

— No cóż, chłopcze, to idź. Jak sobie pościelisz tak się wyśpisz.

Koledzy żegnali mnie jak skazańca. I wtedy złość wzrastała we mnie jeszcze bardziej. Tym razem na nich. Już mi stypę pogrzebową wyprawiają?... Wściekły wróciłem do oddziału Kinasza. Kapitan kończył zaznajamiać swoich ludzi z zadaniem, które ich czekało. Potem oznajmił, że ja pójdę z nimi.

Pierwszy stanął po mojej stronie — a właściwie niemal zbuntował się — oficer polityczny, lejtnant „Strielka".

— A ja ludzi na pewną śmierć nie dam! — powiedział twardo.

Część partyzantów poparła go i wtedy wściekł się kpt. Kinasz.

— Ty, mój zastępca, w obliczu nieprzyjaciela odmawiasz wykonania rozkazu? Taki dajesz przykład bojcom? — naskoczył, a nozdrza zaczęły mu drgać z wściekłości. Wyciągnął rękę, jakby mu chciał odebrać pepeszę, ale „Strielka" odskoczył i też coś mruczał pod nosem. Wtedy wtrąciłem się:

— Daj spokój „Strielce". Po prawdzie to on ma rację, a nie ty. Niech nie idzie. Lepiej wziąć ze sobą mniej ludzi, ale takich, którzy na podobną wyprawę idą dobrowolnie. Niech zostanie, a z nim ranni i chorzy. Zresztą — zażartowałem — będzie to z korzyścią dla partyzantki radzieckiej.

— A bo co? — mruknął pytająco Kinasz.

— Bo jak wszyscy pójdziemy i zginiemy, to oddział im. Żukowa przestanie istnieć. A jak część tu zostanie, to chociaż my będziemy gryźli piasek, oni przeżyją i oddział będzie istniał nadal, dostanie uzupełnienia, rozrośnie się. Tylko dowódcą będzie już nie kapitan Kinasz, ale lejtnant „Strielka".

Kapitan najpierw tylko parsknął, potem wyrzucił z siebie jakieś okropne przekleństwo, ale w rezultacie zastosował się do mojej rady. Ja zaś niespodziewanie dla siebie samego doszedłem do wniosku, że z przeciwnika całej wyprawy stałem się nie tylko jej uczestnikiem, ale i zwolennikiem, chociaż jeszcze trudno mi było przyznać się do tego.

Tuż przed wymarszem kapitan postawił swoich ludzi na baczność i mianował mnie swoim zastępcą. I tak zostałem komisarzem czerwonej partyzantki.

Wieczorem słuchając bez entuzjazmu jazgotu ujadających psów policyjnych, dotarliśmy do pierwszych zamieszkałych chat. Oddział pozostał na miejscu, a ja poszedłem na rozpoznanie terenu. Gdzie się nie obejrzeć, bliżej lub dalej, jakaś formacja nieprzyjacielska. Trudno marzyć o przebiciu się chociażby dlatego, że konie utkną w bagnie. Porozumiałem się z kilku znajomymi ludźmi, potem dotarłem do sołtysa w Żurawnicy. Nie znaliśmy się dotychczas osobiście. Ale mój pseudonim „Sławian" przełamał pierwsze lody natychmiast. Nie zdawałem sobie dotychczas sprawy, że jednak jestem na tym terenie popularny. To było przyjemne. Sołtys i inni zgodzili się zrobić wszystko, czego zażądam.

Przypomniałem sobie wtedy powiedzenie pana Zagłoby: pięścią może machać byle kiep, ale nie każdy może być Ulisesem. Po powrocie przedstawiłem swój plan partyzantom radzieckim Ale nie chcieli się na niego zgodzić.

— Stracić konie? Na to nie pójdziemy.

Po chwili już żałowałem, orientując się, że właściwie nie wytłumaczyłem dokładnie, o co chodzi. Mówiłem więc teraz że wbrew pozorom najlepiej będzie przejść zajęty przez hitlerowców teren udając oddział niemiecki, a właściwie pomocniczą formację rosyjską. Rzecz komplikowała się tylko przez to, że nie znaliśmy hasła. Mieszkańcy Żurawnicy nie mogli mi w tym pomóc, bo hasła nikt z nich nie znał także. Ja znałem dobrze język niemiecki. Liczyłem na to, że w razie spotkania z przeciwnikiem będę rozumiał jego pytania. Ale muszę udawać, że nie rozumiem, odpowiadając po rosyjsku. Przedstawię swój oddziałek jako formację Ostlegionu, wracającą z dłuższego patrolu i stąd nieznajomość hasła. Ale istniała możliwość, że napotkany Niemiec będzie znał język rosyjski. A co wtedy? Pozostaje jeden argument: pepesze! Ale takiej ewentualności trzeba we wszelki możliwy sposób unikać, bo zaraz zacznie się alarm we wszystkich oddziałach hitlerowskich.

Od strony Szczebrzeszyna psy wciąż szczekały zajadle. Ludzie z Żurawnicy przeprowadzali nas opłotkami, wiedząc przecież, że przez to narażają i własne życie i bezpieczeństwo całej wsi. Na skraju wsi poinformowali nas jeszcze, jak wygląda teren dalej i wrócili. Zatrzymałem oddział i nakazałem zachowanie bezwzględnej ciszy. Po różnych głosach i dźwiękach możemy zorientować się w rozstawieniu posterunków i placówek nieprzyjacielskich. Ale — poza dalekim szczekaniem — kompletna cisza. Szeptem nakazuję, aby pojedynczo, na palcach, przechodzić na drugą stronę szosy. Tam jedni zaczekają na drugich, ale żadnych rozmów, żadnych nagłych ruchów.

Ciemno, że na odległość czterech kroków nic nie widać. Księżyc stał się naszym wspólnikiem i ani go widać spoza gęstych chmur. Ciemność wprawdzie i nam utrudnia poruszanie się, ale przede wszystkim kryje przed okiem wroga. Gdy wszyscy znaleźli się szczęśliwie po drugiej stronie szosy poszliśmy dalej. Wyjaśniam szeptem, że teraz przed nami tor. Z pewnością gęsto obstawiony. Potrącenie bodaj jednego kamienia może zdradzić cały oddział. A to w praktyce oznacza dla nas wszystkich wyrok śmierci. Albo prawie dla wszystkich. Wszyscy są doskonałymi partyzantami nie tylko z wyszkolenia, ale i praktyki. Rozumieją o jaką stawkę chodzi. I w postawienie nogi na ziemi wkładają całą umiejętność. Raczej fruwają czy płyną w powietrzu, może skaczą, lądując miękko po drugiej stronie.

Przeszli wszyscy. Bezszelestnie! Nie widzę ich twarzy, tylko zamazane kontury ciał tych najbliższych. Zresztą w najbardziej jaskrawym słońcu też nie widziałbym nerwów, które zapewne napięte są jak struny.

Przed nami miękka, torfiasta łąka. Gdzieś dalej w ciemności czai się nowym niebezpieczeństwem Wieprz. No i powstaje nowe pytanie, nad którym poprzednio nie zastanawialiśmy się: przejść rzekę w bród, czy odszukać drewniany mostek na polnej dróżce, wiodącej do młyna znanego mi z konspiracji Łysaka? Naradzamy się chwilę. Bezpieczniej jest niewątpliwie przejście przez rzekę, bo mostek może być strzeżony albo zaminowany. W samym młynie zapewne kwateruje jakiś hitlerowski oddziałek. Ale z drugiej strony, gdy wyjdziemy z Wieprza zmoczeni, czy będziemy mogli udawać patrol Ostlegionu? Bo w takim wypadku niby dlaczego przez bród, a nie prostą drogą? Co więc robić?

Gdy nie możemy się zdecydować, przypominam sobie, że przecież jestem tutaj jako przewodnik, odpowiedzialny za przeprowadzenie wszystkich. Więc pójdę sam i stwierdzę osobiście, jak wygląda sprawa przejścia przez ów mostek. Inni — znów w kompletnej ciszy — kilkanaście kroków za mną. Przed mostkiem zatrzymają się z bronią gotową do strzału. Jeżeli zostanę odkryty i rozpoznany — zlikwiduję wroga granatem. Wtedy wszyscy skokiem na drugą stronę. W razie spotkania oporu trzeba nieprzyjaciela natychmiast zasypać ogniem pistoletów maszynowych. I wciąż naprzód, naprzód! Po przebiegnięciu kilometra będzie droga z Topólczy do Kawęczyna. Potem prosto w górę do lasu. Cofać się nie wolno pod żadnym pozorem, choćby ta droga była silnie broniona. Główne siły wroga są już za nami, wzdłuż szosy, którą przeskoczyliśmy na początku. Odwrót po strzelaninie to dobrowolne wejście przed pluton egzekucyjny.

Wreszcie dochodzimy do Wieprza. Nadsłuchujemy, patrzymy w tym kierunku, gdzie powinien znajdować się młyn. Ale jest ciemno i cicho. Kilku z nas kładzie się na łące, aby na nieco jaśniejszym tle nieba sprawdzić, czy coś się nie porusza. Wszędzie martwota. Czołgam się do pobliskiego mostku. Wreszcie widzę coś jaśniejszego, nieruchomego. To mostek. Cisza i spokój stają się coraz bardziej denerwujące, chociaż właśnie tego potrzebujemy. Naprężone zmysły zdają się reagować już nawet na myśli.

Z granatami w rękach wchodzimy na most. Tuż obok mnie jakby zamienione w same mięśnie ciało kapitana Kinasza. Cisza. Nagle gdzieś od tyłu skrzypnęła jakaś deska i natychmiast zamarła w ciszy. Przed nami ciemnieje masa młyna. Psiakrew — żeby chociaż jakiś pies zaszczekał! A tu nic — wciąż ta kompletna cisza. Przechodzimy obok młyna, ale jakoś niepewnie, przygotowani chyba na prawdziwe trzęsienie ziemi. Ale nic się nie dzieje. I znów idziemy razem.

— Stój! Kto idzie? — rozlega się nagle z ciemności. Zanim orientujemy się, że to po polsku, dłonie zaciskają się wokół broni.

— Swoi, swoi — odpowiadam teraz pospiesznie. — Dlaczego tak krzyczycie? Licho nie śpi.

— Co za swoi? — pyta nieufnie głos z ciemności.

— My do „Kawki" albo do „Wiewiórki".

W ciemności coś się na ułamek sekundy zawahało, jakby zaskoczone obcesowością naszego żądania.

— Nie znamy takiego...

— To go poproście, aby przyszedł — zaproponowałem.

— Jak możemy wołać, gdy go nie znamy?

— No to zawołajcie kogoś, kto go zna. Albo sołtysa.

Tuż przed moim nosem z ciemności wyłoniła się jakaś postać. Raczej wyczułem niż zobaczyłem odbezpieczoną broń.

— „Kawka"? — pytam.

— Nie znam żadnej kawki... A co wy od niego chcecie?

— Jak nie ma „Kawki" — mówię — to mogę gadać z zastępcą. A chcemy jeść i dowiedzieć się, jak sprawy stoją.

Postać w mroku uważnie wsłuchuje się w mój głos. I nagle pyta niby obojętnie:

— Zapalicie?

— Czemu nie? Ja zawsze chętnie zapalę — odpowiadam.

Biorę papierosa i szukam zapałki. Uprzedza mnie, błysnąwszy ogniem, podanym nazbyt skwapliwie. Nachylam się ku zapalonej zapałce, która oświetla mi twarz.

— „Sławian"! — opuszczona zapałka gaśnie na ziemi.

— No chyba, że nie cesarz chiński czy reichsfuehrer — stwierdzam z przekąsem. — Ale to nie powód, byście mi ognia nie dali.

— Niech was kule biją! Co tu robicie?

— Że nas biły to prawda. A jesteśmy głodni i przyszliśmy do was na dobrze zapracowaną kolację.

— „Kawki" doprawdy nie ma, ale to nie zmienia sytuacji. Chodźcie. Ale co to za ludzie z wami?

— To?... przeciągam. — To... Sowieci. Kapitana Kinasza.

— Musicie szybko zwiewać. To nie żarty. W tej chwili Niemców tutaj nie ma, są bliżej Szczebrzeszyna. Ale za rzeką całe kolumny. Z psami. W Żurawnicy tyle, że nawet mysz się nie prześliznie.

— Naprawdę? — pytam nieco drwiąco.

— Z całą pewnością. My nawet nie mamy łączności.

— A czy my wyglądamy na myszy?

— Co wy? — fuknął nieco dotknięty.

— My nic. Idziemy właśnie z Żurawnicy.

— Nie mogliście przejść i wracacie? — spytał domyślnie.

— Źle zrozumieliście. Powiedziałem z Żurawnicy a nie do Żurawnicy. A właściwie z lasów kosobudzkich przez Żurawnicę.

— I udało się wam?

— Jeżeli teraz rozmawiamy ze sobą, to wynika, że się udało. Teraz idziemy do Szczebrzeszyna, a nawet trochę dalej.

— Bójcie się Boga! Przecież tu stoją Niemcy — aż do samego Szczebrzeszyna. Nie przejdziecie!

— Przejdziemy, przejdziemy. Ale zamiast gadać lepiej dajcie jeść.

Jedzenie szybko przygotowano. Żołnierze jedli chciwie, odpoczęli. Kapitan nie rozwodził się, tylko silnie, bardzo silnie uścisnął mi rękę i powiedział krótko:

— „Sławian" — maładiec!

O sytuacji dowiedzieliśmy się niezbyt wiele, bo sami nie wiedzieli. Po krótkim odpoczynku poszliśmy dalej. Przed nami dwu ludzi z miejscowej „warty". W razie zetknięcia się z Niemcami lub ich sługusami nic im nie groziło, bo przecież pełnili swoją „służbę" zgodnie z poleceniem okupanta. Dla nas zaś będzie to sygnał alarmowy.

Po przejściu do granicy swego rejonu „warta" wróciła. Ja zaś poprowadziłem oddział na lewo i krętymi ścieżkami jarów Roztocza doprowadziłem wszystkich do Szperówki. Już nie kryjąc się zaszliśmy do „Gryki" (Czesława Dobrzańskiego) i sołtysa Grygla. Czerwoni partyzanci dostali zakwaterowanie i wyżywienie.

Z puścizny przekładowej Tadeusza Bocheńskiego

HORACY

Do Mecenasa

Są, miły Mecenasie, królów latorośli,
woźnice, co, kurzawą bolska porośli,
metę wartkimi koły okrążą bacznie
i szczęście w palmach mieszczą i ludu podziwie.

Tego z bogami zrówna Kwirytów gromada,
gdy mu pełnię trojego dostojeństwa nada,
owego pod niebiosa wynoszą spichlerze,
kiedy w nich plon libijskiej ukrainy zbierze.

Oracza Attalowe skarby nie nakłonią,
by się na kruchej łodzi z mórz pokumał tonią.
kupiec, burzy odporem zawrócon w przystanie,
łata okręt i wnet się znów powierza pianie.

Kto uciechę i życie kocha bez mozołu,
na trawie sobie lega z cieniami pospołu
i, źródła wysłuchawszy, co opodal tryska,
do uczty się wygodnej dźwiga z legowiska.

Wielu żołnierka, rogu dźwięk raduje ostry
i wojna, której matki zlorzeczą i siostry.
Myśliwca dzik lub sarna w las głęboki wiodą,
choć w domu żonę piękną zostawił i młodą.

Mnie z bogami wawrzyny pobratały świeże,
a od ludzi gaj odciął, cieniste obierze.
I tańczę z rusałkami po mchach i murawie,
byle mi tylko Muzy sprzyjały łaskawie.

A kiedy lutnja dzwoni i fletnia chichoce,
rozkoszne dnie są moje i rozkoszne noce.
Jeśli mię do wieszczego ty zaliczysz grona,
czołem sięgnę, gdzie niebios gwiaździsta korona.

Do Deliusza

Niewzruszonego ducha chować w przeciwności,
a kiełznem go pamiętaj wstrzymywać i miarą
od butnego wesela, gdy się los wyprości,
Kwincie Deliusza, śmierci niechybnej ofiaro.

Jednako, czy smutkami okapturzysz czoło,
czy w ustroju, co trawą do spoczynku kusi,
odświętnie będziesz legał i przednim wesoło
uraczał się falernem, kres nastąpić musi.

Sosna oto rozrosła i biała topola
konary połączywszy cień gościnny sączą.
Woda krętą się smugą przewija wśród pola:
patrz, jak tłoczą się fale, jak pierzchają rączo!

A kazujże tu wina znosić, a wonności,
a róże, co rozkoszą kwitną wszak niedługą,
i używaj, dopóki młodość w tobie gości
i pozwalają Parki, lat władnące strugą.

Opuścisz wnet te gaje, domostwo i niwy,
które Tyber żółtawą opłukuje wodą
opuścisz, a na stosie skarbów niecierpliwy
osiądzie dziedzic, twoim jakże rad zachodom!

Czyś bogacz i dawnego wnuczę Inachosa,
czyli biedak i lichych rodzicieli czędo,
komukolwiek nad głową ziemskie lśnią niebiosa,
przeznaczon jesteś mrokom, co w Hadesie będą.

Wszyscy tam dążym, wszystkie kołysze imiona
pojemna urna: wcześniej lub później wychodzi
los każdego, a wówczas taki człowiek kona
i na wieczne wygnanie w czarnej płynie łodzi.

Jak przekładać poetów starożytnych? Dwa tysiące i znacznie więcej lat, co od nich upłynęły, to dalekość i obcość. Otóż starajmy się obcość usunąć, a dalekość wyzyskać jako świeżą, dziewiczą ponętę. (Tadeusz Boheński „O przekładach poetyckich — z „Kropli humanizmu")

(Dokończenie ze str. 1)

Stację Sanitarno-Epidemiologiczną w Rzeszowie i lubelski Instytut Medycyny Pracy i Higieny Wsi ekspedycji naukowo-badawczej w powiatach bieszczadzkich. Twórcami obu filmów są amatorzy z klubu „Rzech" w Rzeszowie.

Kiedy oglądam „Akcję — B" chyba nie tylko ja myślę o kilkutygodniowej pracy lekarzy, pracowników technicznych, kierowców. Całego zespołu ludzi, którzy przejechali lub przeszli i zbadali ponad 130 wsi, tysiące zagród, udzielili setki porad, przeprowadzili badania studzien, potoków, rozmawiali z tysiącami chłopów o ich odżywianiu się, mieszkaniach, chorobach.

UZDROWISKA na sprzedaż?

Pamiętam dobrze tamte dni: gromady dzieci oczekujące na przyjazd lekarza, kobiety niosące po kilkanaście kilometrów niemowlęta, „aby pan doktor je zbadał, bo od kilku miesięcy chorują". A w nocy patrzyliśmy, jak wypełniają się rubryki statystyk: tyle i tyle przypadków próchnicy, tyle anemii, tyle wszawicy. Film pokazuje zwyczajny, przeciętny dzień pracy bieszczadzkiej ekspedycji, bez retuszów i upiększeń. Dziś jest to już dokument, który trzeba koniecznie zachować. Może nawet widzowie tego zaimprowizowanego seansu, z których wielu było w Bieszczadach po raz pierwszy, ten uderzający kontrast historii sprzed lat pięciu a dniem dzisiejszym dostrzegli nawet silniej niż my. Dzięki temu o problemie Bieszczad i ich znakomitych walorach rekreacyjnych można było mówić zupełnie inaczej, niż to się wyd wało w Warszawie, Krakowie czy Łodzi.

Gospodarze województwa, czy im się ta rola podobała, czy nie, musieli wystąpić w charakterze zatroskanej matki, mającej na wydaniu kilka urodziwych, ale biednych córek, których zalety trzeba było teraz przedstawić bogatym konkurentom. Przedstawić w sposób prawdziwy, przekonywający, równocześnie nie wywołujący wrażenia, że chodzi tu o transakcję, na której tylko jedna, to znaczy rzeszowska strona chce wygrać. Niezwykle delikatna więc była to misja dla tych, którzy mieli przedstawić zaproszonym gościom uzdrowiska na sprzedaż.

Nie chcę formułować ocen miejscowości, które oglądaliśmy. Spisuję tylko z dziennikarskiego notesu to, co widziałem, o czym mówiono.

Wysowa. Dojeżdżamy tam w czasie gwałtownej śnieżycy. W parku zdrojowym nie ukończony jeszcze budynek. Ulokuje się tam zakład przyrodoleczniczy — 600 zabiegów dziennie. I ślady innych inwestycji: regulacja potoku Szumiak i rzeki Ropy, która tworzy jedną z najpiękniejszych dolin w tej części Beskidów. Naprzeciw parku buduje się pawilon gastronomiczny. Gdzieś dalej — duży ośrodek wypoczynkowy Związku Zawodowego Pracowników Państwowych i Społecznych.

Wysowa oferuje wszystkim, którzy zechcą budować tutaj domy wypoczynkowe i sanatoria, właściwie nieograniczone możliwości. Teren uzdrowiska obejmuje ponad 500 hektarów! Takiej olbrzymiej rezerwy przestrzeni nie znajdziemy chyba w żadnym uzdrowisku w kraju. Leży zaledwie kilkanaście kilometrów od Krynicy, przy dobrej drodze obok gwarnych szlaków turystycznych. Za rok lub dwa będą tu wszystkie podstawowe urządzenia lecznicze i usługowe. Odbudowa uzdrowiska prowadzona jest na koszt województwa i powiatu przy częściowej pomocy SFOS. Wysowa szuka więc partnerów, pierwsi już się znaleźli: przemysł naftowy, Związek Zawodowy Górników, Fabryka Maszyn i Sprzętu Wiertniczego „Glinik". Czy będą inni? Z tym pytaniem, na które nikt nie dał odpowiedzi, odjeżdżamy do Rymanowa.

Wieś Posady Górne łączy miasteczko Rymanów z uzdrowiskiem o tej samej nazwie. W samym uzdrowisku dużo wolnej przestrzeni. Sanatoria, zakład leczniczy, pijalnia, budynki administracyjne rozrzucone w sporych od siebie odległościach, piękny starodrzew ciągnie się szerokim pasem aż do Iwonicza — Zdroju. Budynki czyste i schludne, ale poza jednym, oddanym niedawno do użytku, prymitywne, drewniane. Czy fakt, że jest to uzdrowisko dziecięce, miał wpływ na stosunkowo niewielkie inwestycje w Rymanowie?

Lekarz naczelny przedstawia plany rozbudowy, które ewentualnym inwestorom mają ułatwić podjęcie decyzji. Będzie rozwiązany problem wody do picia, placówki usługowe już się buduje. Zasoby wód mineralnych bardzo duże. Ostatnio odkryto borowiny, a w Dolinie Wołtuszowej stwierdzono obecność solanek alkaliczno-jodkowych. A nie są to wszystkie rezerwy.

Dr Irena Brzozowska, przewodnicząca Zarządu Głównego Związku Zawodowego Pracowników Służby Zdrowia, po zwiedzeniu sanatoriów dziecięcych powiedziała:

— Jest pewnym ryzykiem mówić o rzeczach, których nie uzgadniało się z zarządem Związku, ale wydaje mi się bezsporne: po powrocie do Warszawy musimy raz jeszcze zastanowić się, czy ustalone przez nas inwestycje sanatoryjne nie powinny być przerzucone właśnie tu. Same dzieci przecież nie upomną się o nie.

I wreszcie Iwonicz — największe i najstarsze uzdrowisko Rzeszowszczyzny. W ostatnich latach rozbudowuje się dzięki bogatym inwestorom. Powstają duże nowoczesne sanatoria, ale dyrektor uzdrowiska, mgr Jan Jarno, mówi również o sprawach, których nie pokazuje się w reklamowych prospektach.

Kapitalnym dla przyszłości Iwonicza problemem jest budowa kanalizacji. Obecny stan jest taki, że chyba tylko wyjątkowo dobrym stosunkom dyrekcji uzdrowiska z inspektorem sanitarnym należy zawdzięczać, że nie zostało ono jeszcze zamknięte. Płynąca przez Iwonicz cuchnąca rzeczulka nawet największym sympatykom tego uzdrowiska odbiera ochotę do spacerów. Bez kanalizacji nie będzie dalszego budownictwa, gdyż jest to jeden z warunków, jakie stawiają wszyscy potencjalni inwestorzy. Iwonicz ma świetne warunki lecznicze, posiada zakłady mogące udzielać zabiegów znacznie większej liczbie chorych, wód mineralnych nie brakuje. W porównaniu z innymi krajowymi kurortami jest niewielką, spokojną miejscowością, idealną dla ludzi szukających spokoju i ciszy. W tym właśnie jego szansa.

Jest jeszcze inny problem, który nie daje spać spokojnie tym wszystkim, którzy znają Iwonicz od lat. Uzdrowisko musi znacznie powiększyć park. Od lat czyni się o to starania, ale bez rezultatów. Co gorsze — dzieje się odwrotnie. W najbliższym otoczeniu uzdrowiska prowadzi się, tak jak w każdym lesie, normalny wyrąb drewna. Wiem, że specjaliści wyciągną całą baterię argumentów: względy sanitarne, ochronne, prawidłowa gospodarka leśna, plan i dziesiątki innych.

Panowie leśnicy! Tysiące metrów sześciennych drewna leży na składowiskach leśnych w Bieszczadach. Od kilku miesięcy trwa kampania o właściwe wykorzystanie tego drewna, o zabezpieczenie tego ogromnego majątku przed niszczeniem. Dlaczego nie bierzecie go stamtąd? Znam lasy otaczające Iwonicz od lat przeszło dwudziestu. Mogę śmiało powiedzieć, że Wielki Las, jak nazwano masyw leśny, otaczający uzdrowisko, przestał być wielkim lasem. I grozi mu, że w ogóle przestanie być lasem. Wycinanie lasów w najbliższym otoczeniu tak specyficznego organizmu jak uzdrowisko jest czymś absurdalnym mimo wszystkich innych argumentów. Jest czymś, co godzi w najżywotniejsze podstawy egzystencji Iwonicza-Zdroju.

Sadzę, że Wojewódzka Rada Narodowa w Rzeszowie, która w sprawy rozwoju naszych uzdrowisk zaangażowana jest nie tylko administracyjnie, ale i uczuciowo, nie dopuści do powtórzenia nonsensów z lat poprzednich. Nonsensów, których rezultaty trzeba będzie odrabiać przez dziesiątki lat.

Adolf Jakubowicz

PROTOKÓŁ Z PODRÓŻY

Wigilia na torze

JANUSZ DANIELAK

OKNO wagonu jest wielkie jak morze.

Sznur horyzontu z węzłami domów. Szara plama dymu na ziemi, rozpostarłej jak spadochron. Horyzont miękknie, powyginany ciężarem chmur. Nagła zorza iskier, zrodzonych przez zmierzch. Teraz szpaler drzew, przechodzących na baczność. Potem wchodzą w tłum, tracą indywidualność. Znów wybuch przestrzeni. I wieś.

Mogę zapamiętać tych ludzi, tam, koło tej chałupy, narzucić im istnienie, wyrwać z letargu codzienności, wznieść. Ale nic z tego nie wynikknie. Jak nic nie wynika z tych słów, oprócz mętnego obrazu jazdy pociągiem.

Jadę więc pociągiem. I mam ochotę na drzemkę. Nic nie stoi na przeszkodzie tej drzemce, wzbierającej we mnie jak pragnienie szczęścia. Nic temu nie stoi na przeszkodzie oprócz trosk Wspólobywateli Jednego Przedziału.

— Panie, pan nie znasz życia — mówi kolejarz.

... Pewnie. Taki facet jak ja żyje z wyobraźni, jeśli żyje. Ma się tę fantazję, istnienie wyrywającą z mroku nieistnienia. Uskrzydlone słowa, szybkie i przenikliwe jak poranny wiatr. Kolorowe fajerwerki, sztuczne ognie myśli, rozjaśniające te wasze szare komórki trosk. Wybuchają za sto, za tysiąc, za pięć tysięcy złotych...

Za szybą są teraz rozległe i śnieżne pola Rzeczypospolitej.

— A dawniej to ludzie nie kombinowali, co? — rzekł stary urzędnik. — W 1917 Austriacy brali u nas do wojska. Kończyła im się armia, to brali każdego, choćby nawet był byle jaki. Zostawiali tylko takich, co ich czerwonka chwyciła. A badali dokładnie, w próbówkach. No więc trafił się jeden taki. To zaraz wszyscy do niego w kolejce, żeby kupować ten kał. Może pan wierzyć albo nie, ale ten człowiek zarobił wtedy z pięć tysięcy.

Dziewczyna otworzyła oczy.

— Dobra, sprzedawał to — odparł kolejarz. — Ale nie mówił, że to co innego, prawda? A teraz by panu powiedzieli, że to orchidea.

Milicjant przymknął oczy. Ale nie bawiąc się w metafory zaraz zaczął drzemać.

... Gdyby to nie był protokół, lecz opowiadanie! Wszyscy byście uwierzyli, zmieniłbym to, uprawdopodobnił, podparł oburzeniem jego, rumieńcem jej. Ale oni robili odwrotnie i inaczej. Odwrotnie i inaczej tu się wszystko zaczyna dziać, niż to powinno w wigilię, niż chcę — bo oto dziewczyna mi się w ogóle nie podoba, a biorę ją za rękę i wcale nie za smukłą ani też spracowaną dłoń, ale za zupełnie zwykłą rękę, którą ona zabiera sięgając do koszyka po kawał chleba z serem.

Coś kwiknęło.

— Co pan tam wiezie pod ławką? — zapytał urzędnik.

—Prosiaki. Na święta — odrzekł kolejarz.

— Nie wolno w wagonie osobowym przewozić prosiaków. Takie jest prawo.

— Panie! Jedyne prawo to prawo Kaduka.

— O nie! — zaprotestował urzędnik. — To było w średniowieczu.

— Pan tak zna historię jak ja uprawę kukurydzy. W średniowieczu rządził kler.

— Gdyby nawet, proszę pana — powiedział sucho ksiądz. — Sądzę, że można by nad tym podyskutować. Może raczej zakony. Ale był Ktoś i ponad nimi.

— No dobra, był Pan Bóg. Ale powiem księdzu: wtedy Pan Bóg wiedział mniej i mógł mniej, niż teraz mogą ludzie. Wiedział coś Pan Bóg o wodorowej bombie?

Prosiaki w worku pod ławką znów zakwiczały żałośnie.

— Głodne — powiedziała dziewczyna.

— Wiozę je od dwóch dni. Ale karmię dobrym słowem.

Wtrąciłem się.

— Że też nie zdechły.

— Bo pan pewnie inżynier. Tylko maszyny i pasze treściwe. A słowo dużo może.

... Ale jest jakaś przerwa między prawdą i słowami? A może on ma rację? Zapewne, póki tego nie napiszę — to nie było tak. Ale za chwilę już będzie tak jak było. Albo raczej — było tak jak będzie. A gdybym dobierał innych słów, bardziej uważnie, albo po prostu więcej? Jednak but pozostaje butem, wszystko jedno przez jakiego szewca zrobionym, byle trzymał się na nodze i dało się w tym iść. Tak samo z tą historią: no, niech się dzieje, lepiej lub gorzej, aby wiadomo było, że pociąg wciąż jedzie przez białą płaszczyznę coraz głębszego śniegu, bo znów zaczął padać...

— Zrobili u mnie wreszcie ulicę — ciągnie kolejarz. — Myślę sobie: niech nazwą Hiacyntową. Bo przedmieście paskudne i oprócz tej nazwy nic tam dobrego znaleźć nie można. Ale nazwali: Poprzeczna. Nawet by się panu nie chciało do mnie przyjść.

— Pan nie tylko hiacynty i orchidee — powiedział urzędnik. — A prosiaczki kwiczą.

— Jednak głodne — powtórzyła dziewczyna.

— One nie z głodu tak. Ze śmierci — zadumał się. — One od razu się rodzą z tym przeczuciem gwałtownej śmierci. Co innego koń. Kiedy zabija się konia, on niczego się nie domyśla. W ogóle nie przychodzi mu to do głowy. Chyba że na wojnie. Ale kto teraz zabija konia na wojnie? Więc on nic o tym nie wie. A może tylko nie wierzy? I wtedy jest zupełnie jak człowiek. A świnia wie i wierzy, dlatego tak płacze. Choć od dawna jest z tym pogodzona.

— Panie — zapytałem — kim pan jest i kim jestem ja?

— Torowy. Mam odcinek pod Bielskiem. A pan pewnie inżynier? — i zaczął karmić dobrym słowem te zwierzęta pod ławką. Ale nie powtórzę tych słów, bo nie mogę robić dwu rzeczy naraz, a kiedy on mówił, to ja myślałem.

... Coś im jestem winien, na coś musi mnie być stać. Po prostu muszę coś wymyślić.

Ale myślałem tylko o myśleniu i nic z tego nie wynikało. Nie ma gorszej rzeczy, niż myślenie o myśleniu, bardzo trudno jest wtedy coś wymyślić, tak jak trudno zobaczyć coś w dwóch pustych lustrach przyłożonych do siebie. I prócz tego porównania nie wymyśliłem nic, jak widać. Natomiast:

Wyciągnąłem z walizki butelkę koniaku.

... Aby przyśpieszyć bieg wypadków, pozbyć się tego uczucia opóźnienia a nawet nieobecności, które dokuczało mi bardzo...

Ksiądz wysiadł. Napiliśmy się, oprócz dziewczyny.

→

Odpowiedzi Redakcji

L. G. K. we Wrocławiu i S. P. w Grudziądzu. Może coś wydrukujemy, ale kolejka ogromna.

A. S. w Ostrołęce. Prosi Pan o ocenę fraszek. Cytujemy dwie z nich pt. „Do muz": „Przy Was każdy literat czuje się bezpiecznie i kiedy sam wreszcie umiera — pragnie, by duch jego przetrwał z Wami wiecznie". „Przyszła do mnie Muza. Lecz zamiast Anioła Stróża, dostałem arbuza". Sam Pan najlepiej ocenił swą twórczość!

M. A. O. w Łodzi. Z Pana listu do redakcji: „Uprzejmie proszę o zamieszczenie moich wierszy na łamach Waszego Pisma". Chętnie spełniłbyśmy tę prośbę, ale w nadesłanych utworach są niestety tylko fragmenty.

M. T. w Goldapi. Przeczytaliśmy wszystkie wiersze. Niestety, jeszcze żaden nie nadaje się do druku.

I. H. w Białymstoku. W liście czytamy: „Grafomanów obrodziło... ale też i biedni są ci grafomani, wszyscy się na nich uwzięli: Grochowiak, Wittlin i mnóstwo innych. A każdy z tych biednych grafomanów wyobraża sobie, że jednak to może on, że może poeta, że może wydrukują... Wyrazy szacunku (nawet jeśli nie wydrukują)"... Nie uważamy, aby nadesłane utwory były typową grafomanią, dlatego prosimy o większy wybór i podanie adresu.

J. S. w Mińsku Maz. Cytujemy Pana fraszki: „Szczeble kariery są kruche i często, gęsto pękają. Więc bliźni po naszej d... w górę się szybko dźwigają", „Doprawdy z ludźmi czasami postępować należy jak z psami". Jeśli chcialby Pan myśl zawartą w drugiej fraszce realizować w życiu, wolelibyśmy, aby szczeble kariery „często-gęsto pękały".

W. G. w Kielcach. W opowiadaniach (?) są pewne myśli, ale niczego Pan nie odkrywa. Ponieważ wydaje się, że ma Pan lekkość pisania, radzimy rozszerzyć tematykę. I więcej oryginalności!

J. K. w Pińczowie. Trudno Panu odpowiedzieć na pytania: „Czy warto dalej pracować, czy też zrezygnować od razu". W każdym bądź razie żaden z nadesłanych utworów jeszcze nie kwalifikuje się do druku.

B. B. w Lublinie. Wiersze, mimo że szlachetne w treści, nie mają żadnej wartości literackiej.

A. Ł. w Sanoku. Chłopcy odchodzą od dziewcząt, dziewczęta od chłopców, ale nie wszyscy „porzuceni" skarżą się wierszem, zwłaszcza tak słabym jak Pana.

A. K. w Starachowicach. Jak Pan może napisać w „wierszu": „Pozostawiamy bliską rzeczywistość, która predystynowana do zapomnienia pozostanie zimnym faktem" i uważać, że to jest poezja?

S. Z. w Jarosławiu. Jeszcze nie do druku, ale sądzimy, że warto pracować, „Mój lot" stosunkowo najlepszy".

„Grek" w Krzczonowie. Niestety, bardzo słabe. No i po maturze stanowczo nie wypada popełniać błędów ortograficznych. Robimy tę uwagę „cichótko" jak „listki szeleszczą".

B. K. w Chełmie. „Noc. Bezchmurne niebo, Tysiące gwiazd i księżyc w pełni. Park. Długie cienie drzew. Zakochani i zapach czeremchy. Ty. Ja. Słowik. Bicie serca i słodkie trele. Oddech nocy. Uśmiech gwiazd. Smak pocałunków i miłość. Cisza. Mleczna Droga. Spacer i splaty ramion. Szepty miłosnych zaklęć. Młodość. Radość i spełnione marzenia. Rosa. Chłodny dotyk traw. Rozkosz i pieszczota ust. Chwile szczęścia. Upojenie. Rozkosz dwóch serc i ta noc. Odchodzimy. Ty i ja. Słowik zamilkł i księżyc zgasł. Smutny. Pusty park. Radość odeszła razem z nami". Na razie tylko w tej zabryce może Pani zadebiutować.

KSIĄŻKI NADESŁANE

„PAX"

Roman Brandstaetter — Dwie Msze, Warszawa, 1965 r.

Józef Szczypka — Tajne zabawy, Warszawa 1965 r.

Rosemarie Schuder — Dzień Rocca Di Campo, przełożyła Teresa Jętkiewicz, Warszawa 1965 r.

Wspomnienia Opolan — pod redakcją Aliny Glińskiej, Kazimierza Malcewskiego i Andrzeja Pałosza, Warszawa 1965 r.

Baśń o mieście, którego nie ma...

TADEUSZ KŁAK

JEDNOKROĆ wypadnie mi jechać z Nałęczowa do Puław autobusem, nigdy nie wybiorę pospolitej i nudnawej drogi przez Klementowice i Kurów; wolę zawsze okrężną drogę przez Kazimierz, chociaż jest ona dosyć niespieszna, bowiem odcinek Bochotnica — Kazimierz powtarza się dwa razy: I jedynym motywem wyboru jest nic innego, jak właśnie Kazimierz. Przerwa w podróży pozwala zajrzeć choćby na chwilę na rynek, a przynajmniej odetchnąć i spojrzeć na bryłę fary i skarpy zamku, które są odległe niemal na wyciągnięcie ręki.

Ale to nie ja mam pisać o swych spotkaniach z Kazimierzem, bo nic tu nie mam ciekawego do powiedzenia, choć wszystko, co kazimierskie, jest mi osobiście bliskie. Okazją do tego wyznania stała się nowa książka Konrada Bielskiego **SPOTKANIA Z KAZIMIERZEM**, *należąca do najładniej i najzgrabniej napisanych, jakie w ostatnich latach zdarzyło mi się czytać. Że Konrad Bielski jest doskonałym gawędziarzem, o tym wiemy nie od dziś, ale mimo wszystko w ostatniej książce zaskakuje lekkością pióra, wdziękiem narracji oraz umiejętnością stwarzania klimatu dawności i oddalenia, które przydają wspomnieniom blasku i poezji.*

Kazimierz powinien być siedliskiem muz, tyle ma uroku i tak umie tym urokom poddawać ludzi. Nie bez racji napisał gdzieś Adolf Rudnicki, że „nie ma w kraju drugiej takiej miejscowości, która tak łatwo przywraca ludziom dar poezji". Im dłużej Kazimierza, tym bardziej obrasta on legendami niby winorośla, która tu kiedyś rosła na zboczach. Dziw nawet bierze, iż mimo bogactwa legend dawnych i nowych tak mało z nich przetworzona się w książki. Jeszcze przed wojną Kazimierz stanowił letnią siedzibę warszawskiej elity intelektualnej, był modny. Bywać w Kazimierzu należało do dobrego tonu. Specjalny numer „Wiadomości Literackich" poświęcony Kazimierzowi Dolnemu, który ukazał się na krótko przed wojną, niemal oficjalnie potwierdził jego rangę jako letniej przystani artystów.

Przedwojenny Kazimierz to miasto Żydów i malarzy. Latem gospodarzył tu rektor warszawskiej ASP, malarz Tadeusz Pruszkowski wraz z całym Bractwem św. Łukasza. Jeden z głównych filarów tego Bractwa, Antoni Michalak, do dziś rezyduje w Kazimierzu. Powieściowy obraz „malarii" z Bractwa św. Łukasza znajdziemy w wydanych swego czasu ŚWIATŁOCIENIACH H. Mortkowicz-Olczakowej, których akcja dzieje się w Kazimierzu w 1930 roku. Wiele pisała też o ludziach sztuki, związanych z miastem króla Kazimierza, Maria Kuncewiczowa w ODKRYCIU PATUSANU. Właśnie Kuncewiczowa należała do tych, którzy obok Adolfa Rudnickiego wprowadzili Kazimierz do literatury. Zarówno LATO Rudnickiego jak i DWA KSIĘŻYCE Kuncewiczowej utrwaliły obraz Kazimierza z całą jego żydowską egzotyką, obyczajowością i nędznym żywotem w złotym blasku królewskiej legendy. Odwiedziwszy dzisiejszy Kazimierz autorka napisała o rynku: „Wydał mi się piękniejszy i czystszy niż dawniej, wzbogacony o domy i sprawy nieznane, chociaż od dawna przeczute. I pusty jak scena w antrakcie".

Nawiązując do tych słów pisarki K. Bielski dodaje, że tymi aktorami byli właśnie kazimierscy Żydzi. Im „Spotkania z Kazimierzem" poświęcają wiele ciepłych stron, oni nadawali temu miastu odrębną, zagubioną dziś barwę. Historie, które autor opowiada, są, tak jak opowieści o Esterce, równie pełne tajemniczości i poezji. Choćby baśniowa niemal przygoda Malki Nudelman...

Książka Bielskiego stanowi powrót do młodości autora, a równocześnie do heroicznych czasów Kazimierza. Odwiedziny dzisiejszego miasta i spotkania z dawnymi przyjaciółmi i znajomymi są ponownym jej przeżywaniem i wzbogacaniem o wyznania rozmówców. I tak na karty „Spotkań" przedostają się te rozmowy w całym ich bogactwie, swobodzie i intymności. Z rozmów tych i własnych bogatych wspomnień autora złożył się niezwykle interesujący fresk, na którym utrwaliło się wszystko, co stanowi o niepowtarzalności Kazimierza i jego artystycznej aury. Przez karty książki przewijają się takie osoby, jak Pruszkowski, Kunicka, Michalak, Kononowicz, Siciński czy Filipiak. A ileż skreślonych „po drodze" pysznych sylwetek!

Autor bardzo zręcznie łączy przeszłość z teraźniejszością, swobodnie przenosi się ze współczesności do wspomnieniowej Arkadii, krainy poetyckiej, niemal mitycznej. Mimo szanowania realiów i wierności szczegółom Kazimierz u Bielskiego jest statyczny, ponadczasowy, spokojny i szczęśliwy. Sam autor nazywa Kazimierz miasteczkiem najpiękniejszym na świecie. Stąd jego opowieść przypomina nie tyle pamiętnik, co poetycką baśń, w której wszystko, czego dotknie się pióro, staje się piękne. „Takie to były sprawy tych ludzi" — zdanie tego rodzaju często gości w „Spotkaniach z Kazimierzem", takim zwrotem posługuje się człowiek opowiadający baśń. I może dlatego tym chętniej poddajemy się urokom tej baśni, dziwnym historiom, nieprawdopodobnym a prawdziwym zdarzeniom. W czasie lektury zanika w czytającym jakikolwiek sceptycyzm i nieufność. W baśni wszystko jest prawdziwe. Zwłaszcza jeśli o wszystkim opowiada się interesująco, swobodnie i z czułością wobec przedmiotu, jak to czyni autor „Spotkań z Kazimierzem".

Konrad Bielski: Spotkania z Kazimierzem. Wyd. Lubelskie 1965. Rysunki Zenona Kononowicza.

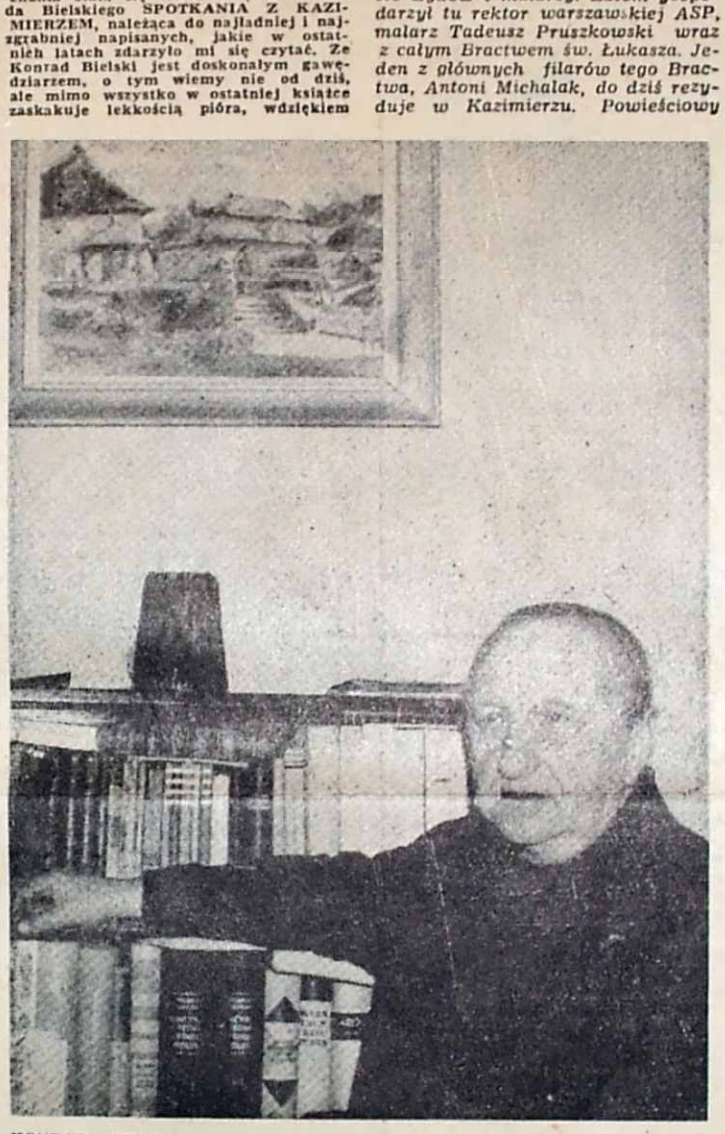

KONRAD BIELSKI

Fot. A. Polakowski

... Szkoda, że dziewczyna nie chciała pić, to mogło później stworzyć jakąś lukę w nastroju...

Okazało się, że każdy, oprócz dziewczyny, miał w walizce albo plecaku to swoje wino. Także milicjant. Kiedy wyjmował butelkę, powiedział wstydliwie: „No, nie jestem na służbie" i wszyscy ostro skarcili urzędnika, który upierał się, że zawsze jesteśmy na służbie.

Ja jednak byłem na służbie. A moja służba — to karmić ludzi dobrym słowem. Uświadamiać nieświadome. Powoływać do istnienia nieistniejące. Powiedziałem:

— Znałem jednego krasnoludka — alkoholika. Często pokazywały mu się białe myszki. Ale były tak małe, że w ogóle nie mógł ich dostrzec. Skarżył się: „co to za myszki, których w ogóle nie można zobaczyć?"

— Teraz wszystko takie — powiedział kolejarz.

— Panu to nawet krasnoludki się nie podobają — powiedział urzędnik.

— Co do krasnoludków — powiedział milicjant — wydaje się, że są różne gatunki.

— Nie — zaprzeczyłem chłodno. — Nie ma żadnych krasnoludków. Co pan sobie myśli? To ja je wymyśliłem. Jak wy w ogóle możecie myśleć, kiedy to ja was wymyśliłem? Wywołałem was z nicości i teraz musicie mnie słuchać. Posłuchajcie. Zbuduję świat na nowo i będzie taki, jaki zechcę!

— To pan jednak inżynier — powiedział kolejarz.

— Tak! — wykrzyknąłem: nie dość, że opuściło mnie uczucie opóźnienia, zacząłem wyprzedzać. — Zobaczycie, jak was zbuduję! Będziecie piękni : dobrzy, rozumni i pełni współczucia. Będziecie przemierzać świat szybkimi pociągami, rozsiewając wszędzie zgodę i dobroduszność. Będziecie piękni i dobrzy — także dla prosiaków.

— Nie wolno przewozić prosiaków w wagonie osobowym — upierał się urzędnik.

— Nie wiecie, kim jestem! — krzyczałem. — Wyrwę was z tej nędzy, o której nawet nie wiecie. Obronię was przed tym szantażem codzienności. Słońce nawet zimą rozjaśniać będzie kwiaty waszych ogrodów. Wasz dzień będzie wstawać świergotem ptaków, a wasze słowa będą jak dźwięki fortepianu. Posadzę wam piękno na kolanach....

Pociąg zahamował gwałtownie i spadłem z ławki razem z nadmiarem tych słów.

Pociąg stanął. Ale nie była to żadna stacja, żadna stacja z tych najmniejszych nawet stacji na świecie, ale zwykły, szczery świerkowy las.

— To bardzo dobrze — powiedział urzędnik. — Zrobimy sobie choinkę.

Wyciągnął z walizki świeczki z lichtarzami.

Wyszliśmy z wagonu. Kucnęliśmy pod świerkiem i urzędnik zapalił świeczki. Ale kolejarz znikł.

— Pytacie o sens życia — kontynuowałem, choć nikt nie pytał. — Co to jest? Może to kryje się w tym lesie, tu, za tą wilgotną gałęzią świerku? A może tam, popatrzcie, może tam, dlaczego nie tam? Tam gdzie stoją spokojne morza, lub gdzie piaski o wieczność odległe od nieba. Cholera wie. A może tylko w tym przekleństwie, w tym posępnym, codziennym, zwykłym przekleństwie, bo przecież nic już nie znaczy, a jednak mówiąc je teraz czuję jakiś głęboki prąd, potok jakiejś treści, która nie znaczy nic, ale tłumaczy wszystko.

A może jednak tam, za tymi ciemnymi konarami drzew?

Spośród tych drzew wyszedł kolejarz wraz z kimś małym i niepokaźnym.

— To on — powiedział.

— Jaki on? — zapytałem.

— On zatrzymał pociąg. Szedł torami, zobaczył wyrwaną szynę, to poszedł naprzeciw pociągu i zatrzymał go zapałkami.

— Zapałkami?

— Nie miałem nic innego — tłumaczył się ten mały.

— Palił po kolei zapałki i maszynista zobaczył — wyjaśnił kolejarz.

— A gdyby nie miał zapałek? — spytałem.

— E — powiedział mały — wymyśliłbym coś innego.

Wtedy od nowa zobaczyłem ten las, ten pociąg i tych ludzi. Chciałem jeszcze powiedzieć do małego „oto człowiek", a nawet po łacinie „ecce homo", ale nawet słowo „dziękuję", głupie, jakże głupie słowo, wyplułem. I zupełnie nie wiedząc, co powiedzieć, powiedziałem:

— Zaśpiewajmy kolędę.

— Nie ma czasu — rzekł kolejarz. — Już jedziemy. Do domu.

— A szyna? — zapytałem. — Jak jedziemy?

— Prosta sprawa. Wymieniłem już szynę. Znam się na tym.

Janusz Danielak

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

- W muzeum białostockim odbyła się doroczna wystawa prac członków ZPAP. Znawcy twierdzą, że prace są bardzo oryginalne.
- PDK, Tow. Szkoły Świeckiej, Społeczny Komitet Przeciwalkoholowy i — KP MO w Ełku zorganizowały seminarium dla kierowników świetlic z 3 powiatów. Przykład dobrej koordynacji pracy.
- A takie rzeczy jeszcze się zdarzają! W remizie strażackiej we wsi Hołody w pow. bielskim była świetlica, ale decyzją GRN została zamieniona na magazyn materiałów budowlanych. Miało to trwać „kilkanaście dni" — a trwa już kilka miesięcy.
- ZMW prowadzi w województwie 358 zespołów artystycznych, 458 kół zainteresowań, 29 młodzieżowych uniwersytetów powszechnych, różne kursy, Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy, akcję upowszechniania plastyki, zakłada koła miłośników teatru.

KIELCE

- W kieleckim klubie MPiK odbyła się pierwsza z projektowanej serii prelekcja na temat sztuki filmowej, uzupełniona pokazem ciekawych filmów krótkometrażowych. Przewidziane są również spotkania z filmowcami.
- „Młodzi spod Łysicy" to tytuł bogato ilustrowanego albumu o wkładzie młodzieży wiejskiej w rozwój wsi rzeszowskiej.
- Władze partyjne i administracyjne województwa wystąpiły z wnioskiem o utworzenie Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Kielcach. Proponuje się powołanie już w tym roku wydziału ogólnotechnicznego, a następnie: mechanicznego, elektrycznego, budownictwa, gospodarki komunalnej oraz inżynieryjno-ekonomicznego.
- Szkoła muzyczna w Radomiu nareszcie otrzymała własny, nowy budynek. W całym województwie jest 7 szkół artystycznych, w których uczy się 1200 młodzieży.
- W Pińczowie, Sandomierzu i Białobrzegach odbyły się seminaria dla kierowników świetlic i przewodniczących społecznych rad klubowych — każde seminarium dla uczestników z kilku powiatów. Organizatorem całości był WDK.
- Prostujemy wiadomość, opublikowaną w „Kamenie" nr 1, P. J. Sikorski dyrygował jednym koncertem orkiestry symfonicznej, nie jest zaś jej dyrektorem. Przepraszamy.

LUBLIN

- Wystawę 8 młodych plastyków z NRD, zaprezentowaną w połowie stycznia w Biurze Wystaw Artystycznych można określić jako próbę interpretacji pojęcia współczesnego człowieka.
- Młodzieżowy Dom Kultury organizuje w lutym przegląd szkolnych zespołów muzycznych i estradowych.
- Ponad 700 koncertów dla młodzieży szkolnej zamierza dać w tym roku Filharmonia Lubelska. Młodzież akademicka natomiast nie wykazuje większego zainteresowania — na 8 wyższych uczelni tylko 70 studentów wykupuje bilety abonamentowe na koncerty.
- 310 uniwersytetów powszechnych w województwie zamierza zorganizować w tym roku TWP. W roku oświatowym 1964/65 wygłoszonych zostanie ok. 6 tys. odczytów. Co czwarty — zgodnie z życzeniem słuchaczy — o tematyce społeczno-politycznej.
- Muzeum Lubelskie zorganizowało wystawę malarstwa i rysunków pochodzącego ze Szczebrzeszyna Józefa Brandia (zmarł w 1815 r.). Swego czasu prowadził on w Monachium szkołę, przez którą przeszli m. in. Falat, Wyczółkowski i W. Kossak.
- Niemal z dwuletnim opóźnieniem została zakończona budowa Domu Nauczyciela. Stanął on na skraju dzielnicy uniwersyteckiej. Kosztował 11 mln zł — większość pokryły składki nauczycieli.
- Operetka lubelska wystawiła „Wiedeńską krew" J. Straussa w reżyserii Xeni Grey. Spektakl zostanie pokazany na występach gościnnych w sąsiednich województwach.
- W konkursie Kuratorium i Okręgowego Ośrodka Metodycznego na najlepszą świetlicę w szkołach zawodowych zwyciężyła Szkoła Zawodowa i Technikum Przemysłu Spożywczego w Lublinie.

RZESZÓW

- Mała scena przy teatrze im. Siemaszkowej wystartowała trudną sztuką pisarza radzieckiego Juliu Edlisa, w przekładzie i reżyserii Jerzego Pleśniarowicza: „Gdzie jest Abel, brat twój?". Ale przygotowano ją bardzo dobrze. Kolejno mają być zaprezentowani: Herbert, Broszkiewicz, Różewicz, Witkacy, Ionesco, Sartre.
- Tow. Nauk w Przemyślu wydało 180-stronicową monografię „Z przeszłości Radymna" dr Kazimierza Gottfrieda, dyrektora muzeum w Jarosławiu.
- Na spotkaniu działaczy kulturalnych w Nisku, zorganizowanym z inicjatywy KP PZPR, postanowiono powołać towarzystwo miłośników Ziemi Niżańskiej oraz rozpocząć gromadzenie zbiorów do przyszłego muzeum.
- Tow. Przyjaciół Nauki i Sztuki w Rzeszowie opublikowało „Rocznik województwa rzeszowskiego" za lata 1962—63, a muzeum na użytek placówek kulturalno-oświatowych — „Informator Muzeum Okręgowego".
- Prezydium MRN w Stalowej Woli wystąpiło do Ministerstwa Kultury i Sztuki o przemianowanie ogniska muzycznego w szkołę muzyczną I stopnia. Do ogniska uczęszcza 150 chłopców i dziewcząt. Kandydatów jest znacznie więcej, ale brak środków na zaangażowanie większej liczby nauczycieli uniemożliwia przyjęcie wszystkich.
- Na ogólnopolskim konkursie recytatorskim we Wrocławiu, zorganizowanym przez Zw. Zawod. Pracowników Służby Zdrowia, pierwsze miejsce zajął pracownik apteki z Rzeszowa Stanisław Guzek.

Kamena

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół. Redaktor naczelny: Marek Adam Jaworski. Adres redakcji: Lublin, Graniczna 7, Telefon 2-34-49.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i RUCH. Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Zam. 198 13.I.66. L-4.

Kazimierz Łojan

SZOPKA LUBELSKA

/fragmenty/

Plac Litewski. Przy stoliku z szachownicą siedzi dwóch graczy. Grają. Grają w sposób dość oryginalny, wyraźnie bez klasycznych zasad. Np. ruch dwoma lub trzema pionkami na raz, dobieranie pionków z kieszeni. W trakcie gry ożywiona gestykulacja. W charakterze kibica — dziadek. Stopniowo zaczyna go coś niepokoić w tej grze — wreszcie nie wytrzymuje i pyta:

DZIADEK: — Panowie, a w co wy właściwie gracie?

JEDEN: — A kto wam dziadku powiedział, że to gra? Po prostu, widzicie robi się posunięcia, awansuje, atakuje, podciąga.

DZIADEK: — To widzę, ale co to ma znaczyć?

JEDEN: — Zajmujemy się działaczami kultury!

DZIADEK: — Aaa!

Zawodnicy robią jeszcze dwa stanowcze ruchy pionkami po czym dziękują sobie za grę i odchodzą. Pozostaje tylko

Dziadek:

(mel. balladowa)

Gdy wiek człowieka całkiem pokręci
I życie inny ma urok,
Gdy nic wielkiego człeka nie nęci —
To się zajmuje kulturą.

Ludzie są dziwni, ludziom się nie chce,
A ja mam swoje zasady:
Onegdaj byłem aż w Operetce
Obejrzeć MY FAIR LADY!

W kinach też bywam i w fisharmonii
Intelekt ciągnę do góry,
Nie byłem tylko (choć wiele-m słyszał)
W tym MIEJSKIM DOMU KULTURY...

Cały go miesiąc wszakoż szukałem —
Czyli przez dni aż trzydzieści...
Myślicie może, żem znalazł? Chała!
Czort wie, gdzie t o t o się mieści...?

Lecz teraz chyba (czuję to z góry)
Ktoś poratuje mnie w bidzie,
Bo oto widzę — ta od kultury
Zacna Komisja tu idzie!

Komisja:

(mel: „Budujemy nowy dom")

Powołamy nowy DOM,
Jeszcze jeden wielki DOM,
Który ujmie, który weźmie... który...
On naprawi wszelkie zło,
On ożywi wszystko, bo
Nie masz to, jak Miejski Dom Kultury!
Już swój Dom ma ludność Piask
I sto innych wielkich miast,
Lublin też nie może czekać dłużej!
Świetny pomysł takie DOMY,
Choć budynku na to niet,
Niech konsument dobór kultury wreszcie wie:

Już dość narzekań, przeklinań —
Miej bujną wyobraźnię, w piersi nabierz tchu.

Powołamy dla dobra Lublina
DOM bez domu — DOM ze snów!

Powołamy wielki DOM
Nie ma sali — no to co?
Powołajmy chociaż kierownika!
Niech nam żyje, wiwat! Hurra!
Pierwszy szef, co nie ma biura.
Niech nam żyje! Niech się wije lat choć sto!

Kierownik:

(mel.: „Jak miło nam")

Jak miło siąść u szczytu góry
I całe miasto objąć stąd.
I tak się dorwać do kultury,
By dostrzec z góry każdy błąd!
Mieć sojuszników w pracy moc (i ufać im)
Świat można ołśnić byle czym!
Hejże hej! Hejże hej!
Będzie DOM — tylko chciej!
Razem ja z wami tu
Wywołamy nowy cud!!!

Głos:

Mówi stara prawda ludu:
„Bez pomysłu — nie ma cudu!

Reporter do kierownika:

(mel: Gdzież ty, mój sad")

Gdzie masz swój dom?
Gdzie ten pałac, gdzie?
Gdzie są nowe formy?
Co pan o nich wie?

Kierownik:

Dni płyną... i mimo
Mych zapewnień
Coś nie klei się...

Gdzie jest mój DOM?
Ja sam nie wiem też —
Ja-m taki „bez teki"
Jak minister Lesz...

Kolego: Pstrowskiego,
Pod dwunastką —
Tam spytajcie się!

Pod dwunastką słychać głośną muzykę, gwar, szum, pobrzękiwanie kieliszków, toasty itp. Reporter puka natarczywie, po jakimś czasie wysuwa się głowa:

Głowa:

A koleś, to co? Nietutejszy? Gdzie się szanowny obywatel chce dostać? Na salę widowiskową? Przecież tam się nic od dwu tygodni nie dzieje — pusta. Pozwól pan do nas — do OŚRODKA DZIAŁALNOŚCI ZASADNICZEJ *(odwraca się)* Panie Dyrektorze! Widzowie przyszli!

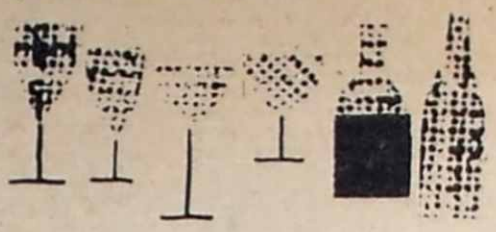

Dyrektor „Estrady":

(mel.: „Bogdan trzymaj się")

Ja nie jestem Filip Clay,
Ja nie jestem z branży tej,
Co to wszystko zaraz chcą „pro arte".
Gdy mi mówią: Pokaż twarz —
Masz warunki — salę masz!
Ja pół serio biorę to — pół żartem...
Bo ja jeden dobrze wiem,
Jak w kulturze stracić szlem,
Jak się kładzie w tej ESTRADZIE — cele!

Mnie widowni obcy gwar,
Mnie gwar miły tam, gdzie bar,
Ja na czele inne cele mam!

Lud rozrywki żądny jest,
Więc dla ludu mam ten gest —
Założyłem szybko KLUB-KAWIARNIĘ
Repertuar? Prima sort!!!:
Wiśniak, koniak, rzadziej tort —
Do RELAKSU niech się tłumek garnie!
Wiek nie ważny, ani stan,
Gdy masz dychę — toś już pan
I poniekąd jesteś już tym widzem!
Ja się brudną brzydzę grą —
Wiwat czysta! Aby szło!
W sztuce przede wszystkim ważne tło!

(wskazuje na rząd butelek w barze)
(mel.: „Komu piosenkę")

Komu rozrywkę! Komu rozrywkę!
Komu rozrywkę nową?
Z kawką czy z piwkiem zacną rozrywkę
Wysoko pro(—)centową
Mamy tu różne...
(do barmanki) Kochanie — Próżne!
Te estradowe rozrywki —
Trochę wesela — da tylko RELAKS
Grunt to ten refleks szybki!
Wciąż prasa wrzeszczy:
Bar to nic jeszcze —
Stwórz własny zespół ESTRADY!
Głupia to rada. W złość wtedy wpadam
I jestem całkiem blady!
Kto tu wymawia,
Że ja „Wystawiam"?!
Ja, wiecie, też mam te nerwy!
Kto was „do wiatru?"
Chcecie teatru?
To idźcie do OSTERWY!

Powstały w międzyczasie tłumek przenosi się pod Teatr, w drzwiach wita wszystkich dyrektor Teatru.

Dyrektor teatru:

(mel.: „Uśmiechnij się")

Uśmiechnij się — u nas dużo lepiej,
U nas wcale nie jest źle,
Bo musisz wiedzieć, że
Na scenie — wiedz — tak jak w każdym sklepie:

Gdy chodliwy towar masz,
To na całego grasz!

Niech kryzys nurtuje ESTRADĘ
Niech kina splajtują do cna —
Za wszystkich ja tutaj dam radę
Więc śmiało śpiewam tak:
Uśmiechnij się — u nas dużo lepiej,
Lecz zasadę główną tę do serca swego weź:

(mel.: „Jabłonie")

Świat nie jest taki zły,
Świat nie jest szary, gdy
Na twej scenie zakwitną jabłonie.
Przyjdzie forsa i pochwały,
Repertuar na rok cały
Masz, gdy nagle zakwitną jabłonie!

Zespół:

Świat nie jest taki zły,
Świat wcale nie jest mdły!
Złóżmy ukłon kochanej Mamonie!
Obojętnie, z czym do wiatru
— Niech pęcznieje sejf teatru!
Lecz z kulturą na razie już koniec!

(na bis)

Kultura nie jest zła,
Choć tu i tam coś brak
Cóż — w kulturze jak w każdej dziedzinie
No a państwo, pardon z góry —
przecież również dla kultury
Męczycie się z nami w tym kinie!

Łzy już obeschły

BIG BEAT

NIE wiem, czy to, co napiszę, nazwie Pan, Redaktorze, próbą felietonu czy też zwykłą grafomanią. W każdym bądź razie wittlinowskiego „Poradnika" nie czytałem, ciągle wystarcza mi lektura co poniektórych czasopism.

Sprawa dwóch studentek, które wyproszono z kawiarni „Europejskiej", znów odżyła na łamach warszawskiej „Kultury". Gdyby tak podsumować koszty papieru, druku etc., dodać do tego honoraria, jakie szanowni autorzy pobrali za swoje wywody na ten temat, okazałoby się zapewne, że znacznie przewyższają one ową kwotę pięciu tysięcy złotych odszkodowania przekazaną na rzecz PCK przez kierownictwo „Europejskiej". Aż dziw bierze, że tyle świetnych piór stanęło w obronie pań, które — jak to zaczął udowadniać redaktor Horski w „Dzienniku Baltyckim" — w dokumentach MO z nie najlepszej strony figurują. KTT „z niechęcią" odpowiedział w „Kulturze" na wywody redaktora Horskiego, ale owa niechęć nie przeszkodziła mu w zapełnieniu niemal połowy ostatniej strony poczytnego tygodnika.

Kupuję stale „Kulturę", bo nasz polonista lubi od czasu do czasu sprawdzić oczytanie swych wychowanków, ale sprawa pań M. I. i J. Ż. znudziła mnie już do szczętu. Gdyby choć jeszcze pokazano PT Czytelnikom zdjęcia owych studentek czy „uniwersytutek" na wzór niegdyś w prasie publikowanych laureatek konkursu piękności w Kłaju Dolnym, rzecz można by ocenić wszechstronniej.

Ale zdjęcia, Panie Redaktorze, w naszej prasie to przysłowiowe cytryny. Mam tutaj na myśli zwłaszcza własne podwórko. Ostatnia strona „Sztandaru Ludu" poświęcona jest problematyce Lublina. Ale ta zasada z d j ę ć nie obowiązuje. Możemy więc zobaczyć, jakie kreacje przygotował dla pań paryski Dom Mody, jakie sanki zdobyły powodzenie w alpejskiej miejscowości Sestieres, jak w zimowej szacie wyglądają Tokio czy Londyn. A zdjęcia z samego Lublina idą via Warszawa — fot. CAF, Trembecki, w tydzień po „Kurierze".

Nie wiem, czy redakcja w ten sposób oszczędza „wierszówkę" czy Pana Huzara — fotoreportera. Jeśli Huzara, to niech chociaż pozostaną... damy. „Damy honorarium za dobre zdjęcia lubelskich fotografików", których — o czym świadczą chociażby wystawy — w naszym mieście nie brakuje.

Nie możemy też, Panie Redaktorze, narzekać na niedobory w zakresie kadr poetyckich. Widzę to wyraźnie śledząc w „Kamenie" rubrykę odpowiedzi redakcji. Ale nie tylko. Podczas ostatnich ferii byłem w Kraśniku i wpadł mi w ręce numer „Życia KFWM". „Czasopismo odznaczone złotą odznaką ZZM" — głosi napis nad winietą tytułową. Przed wojną — słyszałem — były jakieś złote wawrzyny Polskiej Akademii Literatury. Szkoda, że nie ma ich dzisiaj, bo „Życie KFWM" na taki wawrzyn z pewnością by zasłużyło. W 239 numerze „Życia" znalazłem podniosły utwór Pana A. Ciby. „Dzisiaj łzy już obeschły i rany — cytuję nie bez wzruszenia — Budowami kraj zabliźnia się. Fabryk huk, pól pszenicznych łany, Loty w kosmos — dwudziesty wiek".

O ile rym „rany — łany" nie budzi wątpliwości, o tyle połączenie słów „się — wiek" uważam za zbyt awangardowe. No i niepokoi mnie nieco ów „huk fabryk". Jestem, oczywiście, za industrializacją, ale chciałbym, aby owe fabryki zbytnio nie hałasowały. Przynajmniej na zewnątrz.

W tym samym numerze „Życia KFWM" ogłoszono konkurs p.n. „Uśmiech dla Kraśnika". Pierwsza nagroda — wycieczka do Budapesztu. Sądzę, że autor wiersza, którego fragment przytoczyłem, już ma pierwszą nagrodę w kieszeni. Hamilton z „Kultury" też był na Węgrzech. Poskutkowało. Ostatnio mniej pisze. Chociaż wolałbym go częściej widywać. Bądź co bądź pogłębiam wiedzę z historii Polski przed — międzywojennej i wiem, jakich przyjaciół miał Pan Słojewski zanim się urodził.

Rozpisałem się, a tu trzeba się szykować do studniówki. Wprawdzie matura w tym roku nam nie straszna, ale tradycję, a jakże, szanujemy. Kumple chcieli zaprosić Pana Redaktora. Odradziłem im. Pan Redaktor nie ma poczucia humoru. Nie wydrukuje przecież tego donosu. Pan mówi, że to co najwyżej donosik? Nie szkodzi. Nauczę się. Mam dopiero siedemnaście lat!

Jacek

P. S. Jeśli Pan Redaktor tego nie wydrukuje to i tak się odezwę!

NOTY

W BARDZO starannie wydanym pierwszym tomie interesującej pracy pt. „Miasta polskie w tysiącleciu" (Wyd. Zakł. Nar. im. Ossolińskich) pod hasłem „Chełm" znalazłem następujący cytat: „Miasto to stanowi również ośrodek życia umysłowego i kulturalnego. Jest tu dom kultury, wychodzą tu czasopisma „Kamena", „Zwierciadło", „Kronika Nadbużańska", natomiast pod hasłem „Lublin" przeczytałem: „...Wychodzą tu dwa dzienniki, tygodnik literacki". Coś się pomyliło czcigodnym autorom. Rzeczywiście w Chełmie w y c h o d z i ł y wspomniane czasopisma, ale w okresie p r z e d w o j e n n y m. W Lublinie zaś nie ma żadnego tygodnika literackiego, jest tylko „Kamena" — d w u t y g o d n i k społeczno-kulturalny. Jeśli zaś wymienia się z nazwy (wprawdzie z błędną informacją co do okresu ukazywania się) „Kronikę Nadbużańską" i „Zwierciadło" wypadało również wspomnieć o „Sztandarze Ludu" i „Kurierze Lubelskim", a nie ograniczać się tylko do słów „wychodzą tu dwa dzienniki".

A wszystko dziwi tym bardziej, że lubelską część „Miast polskich" opracowali nie byle jacy specjaliści: Stanisław Krykała, Józef Mazurkiewicz, Kazimierz Myśliński i Brunon Wilczewski.

OD 1 STYCZNIA kolej wstrzymała sprzedaż strefowych biletów turystycznych. Ministerstwo Komunikacji na podstawie dokładnej analizy ustaliło, że bilety te nabywali przeważnie urzędnicy, zaoszczędzając w ten sposób na delegacjach (100 lub 200 km premii!). Wydaje mi się, że Ministerstwo Komunikacji poszło po najmniejszej linii oporu. Strefowe bilety turystyczne można by przecież sprzedawać po uprzednim przedstawieniu karty urlopowej. A swoją drogą już chyba czas, aby zmienić niezbyt życiowe przepisy związane z delegacjami służbowymi.

ROMAN BRATNY w artykule pt. „Kto kogo zawiódł" („Kultura") cytuje kapitalne słowa generała Berlinga, który na naradzie sztabowej — gdy wypadło mu atakować I Dywizją Smoleńsk — powiedział do swego radzieckiego towarzysza broni, dowódcy frontu: „Braliśmy tyle razy Smoleńsk od Zachodu, że wypada raz wziąć go od Wschodu". „W tej anegdocie — słusznie stwierdza Bratny — jest summa losu historycznego, który odwróciwszy nas twarzą na Zachód zatrzymał na zawsze na Odrze i Nysie".

Z DUŻĄ SATYSFAKCJĄ przeczytałem w „Sztandarze Ludu" (z 8—9 stycznia) reportaż J. Porębskiego z ZSRR, ilustrowany wcale niesztampowymi zdjęciami autora. Jeszcze jeden dowód na to, że „nie święci garnki lepią", że warto od czasu do czasu i l u b e l s k i e g o dziennikarza zaopatrzyć w paszport i... dewizy.

W „KONTRAPUNKTACH" (dodatek do „Kuriera Lubelskiego" — redaguje Studencki Klub Literacki) zwróciłem uwagę na niesmaczny artykuł „P r z e d i p o" (autor kryje się pod pseudonimem „FRANT") traktujący o XV Zjeździe ZLP i lubelskim środowisku literackim. „FRANT" pisze m. in. „Nikt z nas niczego nie może zawdzięczać Lublinowi. Taka jest prawda...". Pisanie rzeczywiście „z głupia frant". Ani „Kamena" ani „Kurier Lubelski", na których łamach „FRANT" zamieścił swoje uwagi, ani też „Sztandar Ludu" nigdy nie zamykały swych szpalt przed młodymi twórcami. („Kurier" nawet ich rozpieszcza, czego dowodem jest chociażby sześć wierszy F. Piątkowskiego na jednej kolumnie „Kontrapunktów"). Wydawnictwo Lubelskie również umożliwia debiuty młodym poetom i prozaikom. Lepiej byłoby gdyby „FRANT" pomyślał „p r z e d" napisaniem, a nie „p o"!

MAJ

RYSZARD PODLEWSKI

Notatki myśli-wego

Nawet półgłówkom przysługuje w statystykach ilość — na g ł o w ę ludności.

✦

Bardzo często dobroć jest uważana za wadę serca.

✦

Dla wielu jedyną zdobyczą starożytności jest — rzymska pieczeń.

✦

Odznaczenia lubią wyznaczać sobie spotkania — na nekrologach.

✦

Mówienie do samego siebie może być spowodowane chęcią znalezienia inteligentnego rozmówcy.